



W MIASTECZKU...



ZYGMUNT FIJAS

Proszę o głos!

Wróżba cyganki
czyli
sprawa miłości

W czasach przedwojennych letnie życie towarzyskie Sieradza nie mieściło się w restauracji i pokojach gościnnych pana D. przy Kościuszki, w dawnym zajazdzie, gdzie ongiś rozbrzmiewały trąbki pocztyniów, w uroczym budyneczku o dachu z lukarnami, z bramą ozdobioną kariatydami w formie lwów. Koncertowało się na przystani nad Wartą. Tutaj, przy brzydkim, przy wódeczce, przy dźwiękach patefonu bardziej postępową część śmietanki towarzyskiej występowała w strojach kąpielowych, mniej postępową — pokazywała się bądź w narzuconych na gołe ramiona wełniakach, bądź w ubraniach, chociaż boso.

Wtedy organista „od fary” nie jeździł jeszcze na motocyklu, w mieście nie budowano fabryki, nie było Miejskiej Komunikacji Samochodowej, ani radiowęzła, życie kulturalne reprezentowały dwie dęte orkiestry: straża pożarnej i towarzyszywa gimnastycznego „Sokół” (ta druga zagłuszająca swymi dźwiękami wszystkie, czego nie mógłby zagłuszyć orkan o średnim zadęciu); oraz gimnazjalne kółko teatralne.

Wtedy w tak zwanym „Teatrze Miejskim” (według jednych — dawnych stajniach królewskich, według drugich — kosaćkach), występowali: Pogg, Sawan, Malicka, Walter oraz zespół prymabaleriny carskiej opery Nadzieży Łazaryen.

Wtedy, tak samo jak dzisiaj, w ogródkach sieradzkich kukały kukulki, w rynku, podobnie jak dziś, napelniano władra wodą; po podwórkach chodził tak zwany „głupi Bolek”, wolał „tudnia, tudnia, tudnia”, aby sprzedać swe usługi.

Ten Bolek tłuszcze się w duszy niejednego sieradzianina, on powoduje, że nie wszystko w tym mieście tak wygląda, jak pragniemy.

„BRACHTWO LITERACKIE”

W wieku XV istniało przy farze „Bractwo literackie”. Aby zapamiętać lukę, powstała na skutek upadku tego bractwa, jeden z tutejszych polonistów chwycił za pióro i napisał książeczkę pod tytułem „Miniatury antyczne”. Te „miniatury”, poczęte, jak powiada autor we wstępie, „w apelu zasłużonych naukowo i lirycznie(!) bojowników o piękno starożytnego grodu Wojciecha Okasa-Porocznego, Antoniego Paporona-Pstrokońskiego i Bogumiła Lindego”(!), a wydane w roku 1946 w Sieradzu, to osobliwość stylistyczna, której próbek nie śmiem nie przedłożyć oczom czytelnika:

„Żyć i Łada.
Stary kronikarz krakowski, gdy polskie spisywał grody, umieszczon srodze żmudnych praw dochodzenie, nową rozwarł kartę księgi i wybiegł oczyma w kraj północno-zachodni, leśną stroną nazywany.

I wspominał dawne dzieje techniczne...
Świt.

U skraju puszczy, aż wilgotnej zacień-
niem a mrokiem, daniel siuny stanął.
Przez obrosłe źrenice patrzył w lekkoo-
żółty skrawek południowego nieba, żył
i samotny. Lśniącobrazowe łanie tyska-
ły zabawnie przez pnie omroszonych
konarów. I gdy miś brunatny, co wtedy
do wodopoiu zwykły chadzać, niezręcznie
gałęzi ułomil, wachlarzami listowia zry-
wał się korowaj czered ptasich i zgieł-
kliwym, choć śpiewnym pokrzykiem w
niebo wlatiał, strząsał się w chmur nar-
wiszy wzbijał lub jazgotliwie po krańcu
po puszczy polatał!”

„Bolk III. Rok 1125.

A że dzisiaj rok pański, Bogu dzięki,
1125, przeto przekazowam, by tyki si-
radzkie czerwienią od puszczańskich się
odmieniali, wdy Bolkowi oddał w pur-
purze chadzać zwykły!

Bolk, trzecim zwan, a pierwszy ksią-
żę na Sieradzu, trzasnął ostro drzwiami
ganku i wszedł w dworzyszczce:

Zebrane przed palisadą mrowie miesz-
czan, stało jeszcze z głową odkrytą,
ciężko w myśli uwiąz słowa książęcia.

A Wilk z puszczy, zza siedlisk bobu-
milkowskich, po prawdziwie krzywo pa-
trząc, jął nieco pomstować na tyli wy-
różnienia. Toć przecie on sam kroć po
kroci zwiera dzikię z knęj na dwór
zaciąganie i nic ma-a ci oto, tu siedzący
w ciepku a wygodnym dostatku, w
czerwieniach chadzać będą.

Chromy, a przeto złośliwy Lipek, kum
wilkowy, a w mieście siodlarz wzięty,
przycisnął w ciżbie do niego, wyrznął
mu tegiego lepnika w bok!”

Tak wyglądałyby fragmenty powie-
ści Antoniego Gołubiewa „Bolesław
Chrobry”, gdyby ten pisarz był sier-
dzianinem, Kochał Sieradz do waria-
ctwa, a nie umiał pisać po polsku.

GDZIE LEŻY ZAMOŚĆ?

— Czy wie pani, gdzie w Sieradzu
jest dom kultury? — zapytuje pewną
sieradzką, przeglądającą w rynku
ohydne makaty, znane mi z licznych,
nieustających straganowych wystaw z
łódzkich bazarów i Placu Norberta Bar-
lickiego.

— Dom kultury — zastanawia się,
wyciągając z wózka malowidło, na któ-
rym dzieci zbierają kwiatki pod strażą

dwu aniołów o zbójcejskich twarzach —
ten dom będzie chyba przy szkole me-
talowej, przy Zamkowej.

Szukam tego domu, ale nie mogę go
znaleźć. Wreszcie spotykam dyrektora
R. z „Dziwiarni i farbiarni”, który
akurat asystuje jako czynnik społeczny
przy egzaminach w Szkole Metalowo-
Odlewniczej. Dzięki jego wstawienni-
ctwu i ja staję się czynnikiem społecz-
nym. Daje mi to możność przysłucha-
nia się egzaminom i poczynienia nota-
tek. Oto kilka z nich.

Pytanie: „Jak przejawiała się w twórczo-
ści Adama Mickiewicza jego wrażli-
wość na krzywdę społeczną?”

Odpowiedź pisemna: „Adam Mickie-
wicz urodził się 24 grudnia 1798 r. w
Zamościu koło Nowogródka. W Balla-
dach swych pokazuje krzywdę ludzi
prosty, krzywdzonych przez panów. W
balladzie pod tytułem „Rybka” Mi-
kiewicz oburza się na młodego pana,
który uwiodł młodą dziewczynę. Mi-
kiewicz przez to chce powiedzieć, że ci
ludzie, którzy gnębią i uciskają innych
ludzi, muszą zginąć. W 1823 roku Mi-
kiewicz wydaje drugi tom poezji pt
„Dziady”. W „Dziadach” Mickiewicz
opisuje nam wyzysk pańszczyźnianego
chłopa. Mickiewicz oburza się na ten
wyzysk. Przez te właściwe wnioski
przychodzi po śmierci na obrzęd „Dzia-
dów”, aby się pożywić i napić!”

Pytanie: „Jakie jest znaczenie Ko-
chanowskiego w literaturze polskiej?”

Uczeń: „Kochanowski wprowadził do
literatury polskiej ballady i fraszki...
Jest poetą prostym, pisał stylem ozdobi-
nym!”

Nauczycielka: „Jakie znasz fraszki
Kochanowskiego?”

Uczeń: „Monachomachia”.

Uczeń ma za sobą szkołę ogólnoo-
kształcącą stopnia podstawowego nr 3
w Sieradzu. Po ukończeniu dwuletniej
szkoły metalowo-odlewniczej, a więc
po zdaniu, jak z obliczeń wynika daw-
nej „małej matury”, może iść na po-
litechnikę, być inżynierem, zabierać
głos w sprawach kulturalno-oświatow-
ych, czytać książki, wydawać o nich
sady.

Dla informacji trzeba dodać, że uczeń
ma trudne warunki domowe, szkoła nie
umiała sobie wywalczyć internetu,
chłopcy trzy dni pracują w warszta-
tach, prawie wszyscy mieszkają poza
Sieradzem.

Dla informacji trzeba również dodać,
że ja sam mieszkam w górach z sied-
miorgiem bliskich mi osób w jednej
izbie na poddaszu, nie otrzymywałem
stypendium, pracowałem fizycznie nie-
raz ciężko, niż uczniowie sieradzkiej
Szkoly Metalowo-Odlewniczej i już
w drugiej klasie gimnazjalnej wiedzia-
łem, że Zamość nie leży koło Nowo-
gródka.

No tak, ale wtedy nauczyciele nie
byli obciążeni tysiącami zajęć pozaszkol-
nych, a uczniom nie powodziło się tak
dobrze, jak dzisiaj.

GDZIE JEST W SIERADZU DOM KULTURY?

— Czy wiesz, gdzie w Sieradzu jest
dom kultury? — zapytuje jednego z
uczniów.

— Nie, nie wiem — potrząsa bezrad-
nie ramionami. Ale po chwili szepce
do mnie błagalnie: — Niech pan nie
mówi profesorowi, że ja nie wiem.
gdzie ten dom jest... Mogło by mi to
zaszkodzić w egzaminie.

Uspokajam go: — Nie trwój się, m'o-
dzieńcze. Jeśli możesz nie wieszcie,
gdzie leży Zamość, a przecież tego na
pewno nie wiesz, to już nie nie musisz
wiedzieć.

Nie łatwo znaleźć w Sieradzu dom
kultury. Wszyscy wiedzą, nawet orga-
nista, że przy Zamkowej obok Szkoły
Metalowo-Odlewniczej, że dom ma
własną salę teatralną, że ta sala bywa
wypożyczana na różne imprezy, ale nie
mające wspólnego z kulturą, ale nikt
nie może zaręczyć, że ten dom jest tym
domem, o który podróżnemu chodzi.

Wszedłem bowiem do budynku posa-
danego o to, że jest domem kultury,
ale ani tablica oznajmująca, że ma tu
swe lokale zarząd Związku Bojowników
o Wolność i Demokrację, ani druga gło-
sząca, że również rozgościł się tutaj za-
rząd Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, ani
trzecia z napisem „Liga Przyjaciół Zoi-
nierz”, ani kobieta z okazałym złotym
zębem zmywająca na parterze podłogę
na Boże Ciało, ani dwie osoby na pię-
trze, związające flagę, ani listonosz, ani
jacykolwiek inni ludzie, nie przekonali
mnie, że ten dom „kultury” jest nim
naprawdę, ponieważ, jak się dowiedziałem
w muzeum, budowa tego domu ma być
rozpoczęta dopiero w roku 1956.

MUZEUM

Za to Sieradz ma wspaniałe muzeum.
Mieści się ono w kamieniczce o pęk-
nych sklepieniach krzyżowych z XV
wieku, będącej kiedyś własnością Kazi-
mierza Jagiellończyka. W muzeum rów-
nocześnie z dwiema wystawami: arche-
ologiczną i etnograficzną, bogato zaopar-
zoną w wytwory regionalnej sztuki
ludowej i miejscowego przemysłu arty-
stycznego, oglądać można dwie wysta-
wy objazdowe: „Średniowieczny Kra-

ków” i „Świat starożytny: Egipt, Gre-
cja, Rzym”.

Na tej pierwszej arcybarwne makieły
wykonane na podstawie miniatur z
„Pontyfikatu Cioika” i „Kodeksu Bal-
tazara Behema”, na tej drugiej — to co
było urodą i radością ludów, zamiesz-
kujących brzozi Morza Śródziemnego:
wykwintne, czerwonofigurowe kraterzy
do mieszania wina i wody z Apulli z
IV w. p.n.e., ateńskie lektydy do woj-
nych olejków z V w. p.n.e., korynckie
wytworne aryballosy z końca VII w.
p.n.e. z czasów kiedy Korynt był głów-
nym ośrodkiem greckiej ceramiki i
czerpał motywy dekoracyjne z tkanin
wschodnich; posążek bogini Izdy z Ho-
nusem sprzed czterech tysięcy lat i wie-
le wiele innych ceramicznych cacek.

Nie wiem jaki Norwid kazał idealowi
propagandy sięgnąć sieradzkiego bru-
ku, pokazać te arcydzieła chłopom z Me-
nic i Bogumiłowa, utalentowanym sier-
radzkim garniarzom Hieronimowi Mu-
szyńskiemu i Julianowi Pentkiewiczzo-
wi. Janowi Wierzbickiemu ze Stefano-
wa Barczewskiego, twórczyniom-łkacz-
kom Stanisławie Kubik i Józefie Cha-
ładaj. Jeśli ten sam, co kazał obrazem
Velasqueza i Murilla wejść za szyby
łódzkich sklepów w czasie pewnej
śmiałej imprezy muzeum łódzkiego, to
niech imię jego w sprawozdaniach z
działalności kulturalnej Wojewódzkiej
Rady Narodowej będzie pisane złotym
stramentem: przybliżył sztukę antycz-
ną na odległość dion.

Czy te wystawy cieszą się powodze-
niem? Czy wzmacniają więź kulturalną
między środowiskiem miejskim i wiejs-
kim? Czy służą wszystkim kręgom
społeczeństwa?

Owszem, młodzieży sieradzkiej służą,
jeśli dyrektorzy szkół są przekonani, że
wytwory sztuki ludowej i przemysłu
artystycznego oddziałują kształcąco
na człowieka.

W czasie mej kilkudniowej bytności
w Sieradzu raz po raz zaglądałem do
księgi zwiedzających i nie zobaczyłem
tam, niestety, ani jednego nazwiska
spośród tych, których winny tam być
czuć. Myślę o nazwiskach osób posia-
dających uniwersyteckie wykształcenie.

Rozmyślania

(Dokończenie ze str. 1)

Nauczyciele znają wysoce cenny, dy-
daktyczny chwyt polegający na grupo-
waniu w jednej klasie uczniów mało
uzdolnionych, a w drugiej wybranych.
Pierwsza daje się koledze, drugą mo-
nopoliżuje nasz „ideal”. „Ideal” posta-
dla wreszcie zaskakujące i „głęboko
ideowe” pojęcia o świecie, w którym
żyje.

Zdarzyło mi się, że prosiłem o pomoc
jednego z takich „przedowników”, peł-
nych ognia i świetnie aktualizujących.
Pełnił on również i administracyjne
funkcje w szkole. Dano mi za dużo
„okienek”, czyli inaczej — wolnych go-
dzin między lekcjami. Zauważyłem, że
zmaruwać mnóstwo czasu bezproduk-
tywnie, że staję się „ofiara” takiego
układu. „Ideal” obruszył się słysząc
słowo „ofiara” i odpowiedział: Jak to,
przecież jesteście członkiem partii!
Historia tym zabawniejsza, że sam jest
członkiem egzekutywy.

Jakie drzewo taki klin. Nauczyciel —
sloganiarz, mający za nie wzruszenie-
nią i artystyczną stroną procesu naucza-
nia literatury — wychowuje ułomną
młodzież. Wychowanie estetyczne w je-
go rękach to prawdziwa karykatura. Z
wielu względów należałoby sobie ży-
czyć, aby na lekcji języka polskiego po-
zwolono młodzieży wyzwolić zamiło-
wania do literatury, aby zrozumiano
potrzebę mówienia o języku. Chodzi nie
tylko o to, że bez tego nie może być
mowy o pełnym poznaniu literatury.
Stoimy przecież wobec zaniku społecz-
nej wrażliwości na piękno mowy oj-
czystej. Czymże jest język naszych re-
feratów, zebrań, często prasy, wykład-
ów, jak nie tego dowodem? Jeżeli je-
zyk nasz ubożeje, to postulat wycho-
wania estetycznego nie ma nic wspól-
nego z jakimś odpolitycznieniem, czy
estetyzmem. Jest to postulat na
wskroś ideowy.

Epoka nasza wymaga szczególnej tros-
ki o język. Dziedziczymy piękne, po-
stepowe przykłady walki o jego nie-
skrepowany rozwój, bogactwo i pełnię.
Tymczasem jakże często cała nasza re-
gula estetycznego wychowania ma
charakter czysto przymiotnikowy. Cho-
dzi o posługiwanie się masą przymiot-
ników w stopniu równym — piękny,
głęboki, dogłębny, prosty, uroczy, do-
skonany, adekwatny — bez uzasadnienia
dlaczego właściwie w ten sposób okre-
ślony utwór oceniamy. Dlatego to mło-
dzież uważa mówienie o artyzmie utwo-
ru za mało konkretne, za coś bardzo
podrzednego. Stąd też młody działacz
ZMP, o którym wspomina W. Jazdyński
w artykule „Maturzyści”, kiedy do-
staje pytania „opisy przyrody w „Panu
Tadeuszu”... prosi o inne, bardziej
konkretnie.

Omawiając na lekcji wiersz Ważyka
„Lud wejdzie do śródmieścia” zwróci-

Widać, przebarwne papierowe koron-
ki sieradzkie i „pierzaki”, z których
powiat sieradzki słynie, są dla nich tyl-
ko zwyczajnymi chłopskimi zabawkami
na choinkę, na które nie ma co patrzeć.

MUR WOKÓŁ MUZEUM MUSI RUNĄĆ

Sztuka ludowa regionu sieradzkiego
była eksponowana na rozmaitych wy-
stawach, jej twórcy nagradzani na róż-
nych konkursach. Na wystawie Sztuki
i Rękodzieła Ludowego Województwa,
powiat sieradzki zdobył kilka nagród
Ministerstwa Kultury i Sztuki. Pier-
wszą nagrodę otrzymał pracownik spół-
dzielni „Sztuka Sieradzka”, Hieronim
Muszyński.

— Jak układa się współpraca mu-
zeum z Powiatową Radą Narodową?

— Z Prezydium Powiatowej Rady
Narodowej już się rozprawiłam — mó-
wi kierowniczka muzeum, mgr Zofia
Neyman. Po prostu wystąpiłam z awan-
turą... Tyle przecież działaliśmy w cią-
gu ośmiu lat, wzięliśmy udział w wy-
stawie sztuki i rękodzieła ludowego
województwa, uzyskaliśmy kilkanaście
wyróżnień i nagród, wzięliśmy udział w
ogólnopolskim konkursie na sztukę lu-
dową, prowadzimy pracę eksploracyj-
ną w terenie, w ostatnich tygodniach
wzorowo obeślimy międzynarodowy
konkurs. Uważam, że ustawiczna
ignorancja naszej placówki przez Po-
wiatową Radę Narodową, powiedziała-
bym nawet: pomiatanie, musi się skoń-
czyć... W systemie rad narodowych nie
ma miejsca na instytucje eksterytoria-
ne, wspierane tylko przez Ministerstwo
Kultury i Sztuki i Centralny Zarząd
Muzeów i Ochrony Zabytków... Jeśli
„Kronikę” to interesuje, dobrze będzie
wiedzieć, że władze powiatowe po raz
pierwszy dopiero przed paru tygodnia-
mi zdecydowały się odwiedzić muze-
um... Jeśli w naszym mieście może się
coś podobnego zdarzyć, to czego domać
się od innych władz?..

RADIOWEŻEŁ

Własnego teatru Sieradz nie posiada.
Będzie go miał, gdy w mieście stanie
(Dokończenie na str. 6)

lem uwagę na zagadnienie ścisłego
związku poety z określonymi tradycjami.
Klasa przejawiała duże zaintereso-
wanie. A kiedy doszliśmy do słów:

**Dłoń mądrego murarza
Spod rumowisk obnaża
Cenniejszy od klejnotu
Kamień naszego potu**

musiałem sporo czasu zużyć, aby w
miarę swoich możliwości, wyjaśnić styl
autora, który metaforyczny kamień po-
tu umieszcza pod rumowiskami. Spra-
wa ta zainteresowała młodzież. Czyż
nie można by poświęcić więcej czasu na
stronę estetyczną wierszy Mickiewicza,
Staffa, Sienkiewicza i wielu innych? Zu-
żytkowanie wiadomości gramatycznych
ucznia przy analizie utworu z pewno-
ścią wpłynie na podniesienie poziomu
mowy potocznej młodzieży, jej suges-
tywności i jednoznaczności. Rzecz nie
bagatelna, jeżeli sobie uświadomicie, że
młodzież wiejska, częściowo i robot-
nicza, musi przezwyciężać straszliwe
niemiar trudności natury stylistycznej.

Wspomniany „ideal” — przedownik —
wychowuje młodzież na swój obraz
i podobieństwo, młodzież „okaleczała
stylistycznie”, przyszylił nudziarzy,
którzy znęcać się będą nad urokami oj-
czystej mowy i nad tymi, którzy będą
ich słuchać.

No dobrze — powie ktoś, — ale gdzie
mamy książki, stranne, czytelne, wy-
jaśniające warsztaty twórcze wielkich
mistrzów słowa? Pytanie nie bez adre-
sata, jeżeli wierzyć w dobre chęci na-
szych krytyków i historyków litera-
tury.

Myślę, że jest to jedna ze stron hasła
„bliziej dziecku”, przyswajającego tego-
rocznym konferencjom sierpniowym
nauczycieli. Zbliżyć się — znaczy także
poszerzyć skalę wrażliwości wycho-
wanka, oznaczać walkę o ideał pełnego
człowieka. Brakorobstwo w wychowaniu
daleko większe niesie za sobą skutki
niż dzieje się to na odcinku garderoby
gotowej, o czym tak wiele piszą dzien-
nikarze.

Nie zawsze jest tu winien nauczyciel.
Jakże głęboko wzrusza widok kilkun-
stu pedagogów, dociekających żmudnie
przyczyn niskich wyników nauczania i
wychowania. Jakże wzruszają ich roz-
maite zabiegi — montowanie kolekty-
wu celem pomocy słabszym, częste od-
wiedzin w rodzinnych domach, by po-
prawić, ulepszyć warunki domowej
pracy ucznia. Trwa wiwiska żmudna
i ofiarna Bywa przy tym tak, że po
przewyciężeniu wielu warunków skła-
dających się na wyniki nauczania sta-
nie nauczyciel wobec wychowania i
usłyszy od niego: „O to czy zdam
czy nie, pan się musi przede wszystkim
martwić, nie ja”.

JERZY WALENCZYK

O d kilku lat zbieram okładki książ-
zek, zostawianych przez roztar-
nionych czytelników w tramwa-
jach i pociągach lub gubionych w pocze-
kalniach dworcowych. Uzbierało się te-
go sporo. Naturalnie — okładki te mogą
ginać jedynie dlatego, iż są to książki
„zacytane” do inwentu, każda kartka
„żyje” oddzielnie i żaden introligator
nie zdołałby doprowadzić ich do po-
rządku. Mogę więc powiedzieć o sobie,
że znam gusty i upodobania przecięt-
nego czytelnika, wiem co go interesuje
i jaka lektura najbardziej mu odpowia-
da. Dopomaga mi w tym stała obser-
wacja ludzi czytających i zagłębienie
im przez ramie do książek, którymi się
właśnie rozkoszują. Jakże bliskie jest
mi zdanie, wycytane w „Jarmarku
sensacji” Egona Ervina Kisch: „Nie
mogę jechać tramwajem bez chęci usta-
wienia, jaką książkę czyta pan w prze-
ciwległym kącie”.

Niewesołe refleksje nasuwają mi te
moje doświadczenia. Twierdzą, że czy-
telniacy masowy, o którym tak często
czujemy piękne, lukrowane sprawozda-
nia, jest właściwie „istotą nieznaną”.
Wiemy o nim niewiele, a i to, co wi-
my, nie odpowiada faktycznemu stano-
wi rzeczy.

Jakaż więc jest ta rzeczywistość? Co
czyta tzw. masowy odbiorca książek?
Otoż nie czyta on literatury współcze-
snej, broni się przed nią jak może, gdy
bibliotekarka stara się go do tej lek-
tury nakłonić. Czyta jedynie klasyków, a
swoje tęsknoty za literaturą współcze-
sną (bo ma takie) zaspokaja w sposób
pokątny.

Istnieje cała sieć wypożyczania sobie
książek „zakazanych”. W fabrykach i
DMR młode dziewczęta dostają Pi-
tigrillo, Helenę Mnisek, Pawła Staś-
ka, Mahlerową od swoich wielbicieli,
ci z kolei otrzymują je od „pośredni-
ków” za specjalną opłatą. Krążą te
książki w oryginalne, a gdy się znisz-
czą — krążą w sporządzonych uprzed-
nio maszynopisach.

W liceum uczennice korzystają na-
gminnie z tego rodzaju literatury. Ulu-
bioną ich książką jest „Wróżba cygan-
ki” Godeka (okładkę tej powieści, za-
lezionej niedługo w tramwaju posiadam
również w swoich zbiorach), gdzie, o-
czywiście, występuje hrabia, gdzie
wszystko skąpane jest w oparach ta-
nej miłości i pełne melodramatycznych
perypeti.

Źródłem zaopatrywania się w podob-
ne wydawnictwa jest także łódzki „Zie-
lony Rynek”. Siedzi sobie tam starusz-
ka lub staruszek (na zmianę) z poro-
kładanymi wokół „książeczkami do
czytania”. Chciałem kupić raz „Trędo-
watą”, zażądał ode mnie 100 złotych
za mocno statygowany egzemplarz.
Gdym spytał staruszkę, dlaczego tak
drogo (przecież pięknie oprawne dzieło
w księgarni kosztuje 12 złotych), od-
powiedziała z przekąsem: „To co pan ode
mnie chce? Niech pan kupi „Trędowa-
tą” w „Domu Książki”.

Czym są ludzie uganiający się za po-
dobną literaturą? Na pewno nie wo-
gami Polski. Często są to dobrzy pra-
cownicy: tkacze i tkaczki, zdolni ucio-
wie i uczennice, lojalni obywatele.

Daleki jestem od tego, by ich potę-
pić. Coś w tym jest, że ludzie tak się
za tymi książkami „zabijają”. Jeszcze
dziś napywają do „Expressu Ilustro-
wanego” listy z zapytaniami, dlaczego
nie drukuje się w odcinku powieści
Andrzeja Żabińskiego.

Czego oni szukają w powieściach, o
których mowa? Dreszczycy sensacji,
tzw. mocnych wrażeń, wypożyczku,
ucieczki od szarej, często nietawowej
codziennosci. Nade wszystko jednak szu-
kają w nich miłości. I tu nie ma argu-
mentów. W naszej powojennej litera-
turze ze świecą szukać książek poświę-
conych temu zagadnieniu. Miłość znik-
nęła z kart naszych dzieł, nie ma o
miłości książek ani dobrych, ani złych.
A więc jest to stan najgorszy, jaki mo-
że istnieć — całkowita pustka. Czegoś
bardzo istotnego zabrakło w naszej li-
teraturze. I kto wie, czy nie dlatego
miłość zesza do „podziemi”. Ludzie
młodzi kochają się źle, brzydko, bo li-
teratura jest winna temu, że młodzi nie
kształcą swoich uczuć, że chamięją, że
nie potrafią życia uczuciowego uczynić
pięknym i porywającym.

Lecz gdzież są ci redaktorzy, którzy
wykreślali nam każde zdanie, choćby
tylko potrącające o sprawy erotyki.
Nigdy nie zapomnę, jak w poważnym
wydawnictwie wyrzucono mi parę lat
temu z tomiku wszystkie wiersze, w
których pisałem o przywiązaniu do dro-
giej mi istoty. „Lepiej tego nie druko-
wać, dziś nie pora na to” — powiedzia-
no mi kategorycznie i z miną wielkiego
wajemniczenia. Teraz ci sami redaktó-
rzy i wydawcy nakłaniają do pisania o
miłości. Tylko, czy oni to rozumieją, że
czegoś już odrobić się nie da? Ze mu-
simy płacić ciężki haracz w postaci li-
chych, pokątnie i w tajemnicy czyta-
nych książek przez młodzież i doro-
słych, przez chłopców i mężczyzn, przez
kobiety i dziewczęta.

Wydawcy i redaktorzy, wychowawcy
i działacze — zawierzcie w pełni pisa-
rzo. Bo pisarstwo to sprawa serca
i uczucia, to właśnie sprawa miłości.
Zgódźcie się z tym, że oni rozumiają to
lepiej od was!

KRONIKARZ

Wspomnienia ze Złotej Wody

(Fragmenty pamiętnika nauczyciela wiejskiego)

Siedzę już trzy lata w mojej Złotej Wodzie. Wiele przygód, zawodów, radosnych przeżyć. Ostatnie dwa lata zasiadałem w gminnej radzie narodowej, a przed kilkoma miesiącami, w grudniu, gromadzki Komitet Frontu Narodowego wysunął moją kandydaturę do gromadzkiej rady narodowej i mogę już o sobie powiedzieć, że jestem starym radnym. W powiecie mówią o mnie, że zęby zjadłem na pracy w radach. Niech i tak będzie, chociaż widzi mi się, że diabeł nie mało zrobiłem, że wszystko się dopiero zaczyna, a tamta szarpanina była wstępem do jakiegoś bardziej rozsądnej, planowej pracy.

...Ciagle jeszcze za mało znam ludzi. Czy są ze mną szczerzy? Ależ oczywiście, do pewnego stopnia. Mówią mi o swoich kłopotach materialnych, dzieciach, trudnościach wychowawczych, ale przecież nie mówią wszystkiego. Chociażby starannie unikał spraw spółdzielni produkcyjnej. Jeden, jedyny raz pozwilił sobie na szczerą wypowiedź, kiedy zaczęli mi tłumaczyć, że chłopcy żywią całą Polskę i dlatego oni, a nie robotnicy powinni być klasą przodującą. Słuchałem tego wszystkiego z pewnym zainteresowaniem, bo czytałem o agraryzmie, słyszałem też coś nieścisłego i od starszych kolegów — działaczy. Kiedy jednak zaczęli tłumaczyć historię rozwoju społeczeństwa, nie podjęli dyskusji. Pospuszczali głowy, zamilkli.

Podobnie wygląda sprawa i w dziedzinie życia rodzinnego. Patrzę teraz na znajome chałupy. Wiem, co się w każdej gotuje na kolację, która gospodyni czeka, gra na zwłokę, ma nadzieję, iż sen zmoroje przed jej dziećmi nim ona zacznie palić w piecu. Lenistwo. Niech zjedzą po kawałku chleba i napiją się mleka. O tym wszystkim to ja wiem. I dotychczas myślałem, że dość, iż są granice, których nie powinno się przekraczać. A oto okazuje się, że myślałem źle. Nie tak, kochasiu. Kształtować światopogląd, walczyć o przeobrażenie wsi, to nie tylko wygłaszać pogadanki, od święta, od uroczystości, czy zadawać wypracowania uczniom w szkole. To znacznie więcej i głębiej interesować się codziennymi sprawami człowieka. Przecież i w naszej organizacji związkowej formalnie wszystko odbywa się w porządku: szkolimy się wzajemnie, omawiamy najnowsze pozycje literackie, dyskutujemy nad artykułami „Głosu Nauczycielskiego”, „Sztandaru Młodych”, wygłaszamy prasówki, dzielimy się spostrzeżeniami o dzieciach, rodzicach i... rozchodzimy się do domów. Kilka miłych słów na odchodnym, kilka nie nie znaczących pytań o opał, chleb, tłuszcz, mięso... Zawsze odnoszę wrażenie, że nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego, że są sprawy po których ślizgamy się tylko, albo których wszyscy unikamy...

...Mamy trudności z młodzieżą. Stara Walczakowa powiedziała na zebraniu rodzicielskim:

— Wy ta możecie i do rana gadać, ale gdzie prawda to nikt nie wie. Sami też nie wiecie. Pan Kozłowski, nauczyciel, co tu jeszcze był za cara, też tak gadał, że mu kazali się głośno modlić, że musi dzieci „Boże cara chroni” uczyć ale trzeba dzieci w domu po innemu wychowywać, po polsku...

Wściekle się na Walczakową i wygarnąłem jej całą prawdę. Powiedziałem co myślę o tamtych czasach i o ludziach, którzy mówili i pracowali wbrew swoim przekonaniom. Ale bo to można się z Walczakową dogadać? Powiedziała mi:

— Ej, pan nauczyciel jeszcze młody, świata nie zna. My ta wiemy jak leci wszystko na tej ziemi. Inaczej by człowiek chciał, a inaczej wychodzi...

Po zebraniu poszedłem do Walczaków i usiłowałem na gorąco, za jednym pociągnięciem przekonać i oboje dziadków, i ojców — całą liczną, zasiedziałą, korzeniami tkwiącą w Złotej Wodzie, rodzinę. A rodzina ta walczyła za cara o polską szkołę. Którys z Walczaków za obrazę carskiego policjanta zapłacił wielki „straf” i odsiedział w areszcie trzy miesiące w czasie żniw.

— To była, panie, walka. Człowiek bał się i kłuta i więzienia i „strafu” i — broń Boże — Sybiru, ale prawdę w oczy rąbał, nawet samemu policmajstrowi. Pan Kozłowski, nauczyciel, chociaż mądry człowiek, ale i ten dogądał jak pan inspektor miał przyjechać i portret cara własnymi rękami czyścić. Bo musieli, bo mu za to płacili, bo był najemny.

Podobało mi się to słowo. Jałem tłumaczyć, że dzisiaj nikt nas nie wynajmuje, że to co robimy i mówimy to z własnego przekonania. Że do mówienia takich rzeczy w ogóle nie można wynajmować człowieka, bo to jest kwestia sumienia ludzkiego.

Rodzina Walczaków kiwała głowami, potwierdzała, a potem stary zapytał:

— A jakbyście chcieli gadać co innego, nie tak jak rząd chce to by was przecie wygonili z naszej szkoły.

— Ależ dlaczego mam mówić co in-

nego, kiedy właśnie to co rząd głosi, to jest moje, to jest nasza prawda. — Pewnie, że tak — odparli grzecznie i ku mojej rozpaczy zaczęli gorąco namawiać, żebym zjadł z nimi miszkę zsiadłego mleka. — Panie, na wszystkie choroby najlepsza rzecz — kwaśne mleko...

Z przewodniczącym gromadzkiej rady narodowej uciałem sobie krótką rozmówkę. Sam mnie zagadnął. Jest zdania, że za mało interesuję się sprawami naszej komisji oświaty, kultury i zdrowia.

— Jak nauczyciele nie będą robić — powiada — to kto inny?

Powiedziałem, że właśnie wczoraj działałem jako członek komisji, propagując w czynie sport, turystykę, walkę z pijaństwem, chuligaństwem i tak dalej.

— A protokół z tego napiszecie? Bo co mi tam będziecie bają! Przyjdzie urzędnik z powiatu i powie, że teżka komisji jest pusta. Napiszcie jakiś protokół. A zebranie zwolajcie.

Przypomniałem mu, że to nie ja jestem przewodniczącym komisji, ale machnął tylko ręką i odszedł „po linię” drugiej raty zaliczki na podatek.

Z przewodniczącym naszej komisji Rausem istotnie muszę pogadać. Właściwie to zacytuję go z kośćcami, tylko że ma za dużo dzieci. To nie śmiech. Chłop nie ma jeszcze czterdziestki, a już zdążył przysporzyć państwu dziesięciu obywateli. Wszystkie żyją, chowają się doskonale, zdzierają buty i ubrania, ileś tam uczą się w różnych szkołach. Ojciec zresztą też. Jest uczniem technikum korespondencyjnego w Podzamczu Chełmskim. Okaz, co?

Nie tak, właśnie, że nie tak powinny wyglądać nasze uroczystości szkolne, akademie, obchody. Ileż to razy w czasie górnych, bombastycznych przemówień pana kierownika, dzieci w najlepszej szczypli się, hałasują, krzyczą. Które dziecko interesuje się treścią tych przemówień? Kto w ogóle chce dobrowolnie wysłuchiwać tych nudnych rad wygłaszanych po apostolsku na zakończenie roku? I tego ustawicznego żądania, aby dziecko kochało i szanowało państwo za to, że państwo dało mu naukę, że je wykształciło. Najczęściej zaś bywa tak, że w czasie tej podniosłej uroczystości dziecko przypomina sobie wszystkie „lapy”, dwie, „kapy” i inne zgryzły z ławy szkolnej. Nudne są nasze uroczystości dla dzieci, nasze oficjalne pogadanki organizowane z okazji wielkich rocznic. Toż w naszym przedszkolu młodzieńka koleżanka tłumaczyła w dwugodzinnym referacie „maluchom” podstawy sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Nie wszędzie tak jest, ale uderzmy się w pierś, ile to jeszcze szkół na wsiach idzie starym, utartym szlakiem.

...Teatr w pełnym składzie przyjechał do Złotej Wody. Z „Przebiegacza” Frekwencja, jak to się mówi urzędowo, była dobra. Nie dołożyliśmy w każdym razie.

Mnie osobiście przedstawienie więcej podobało się w Złotej Wodzie niż w Kielcach. Może i aktorzy byli przejęci ogólną podniosłą atmosferą i lepiej grali, a może to dekoracje sprawiły. O takich na pewno myślał Żeromski. Proste, naturalne, świeże. Pani Byrska wpadła na pomysł, żeby za otwartym oknem, na wprost widowni postawić dużą, zieloną gałąź. Ta zieleń właśnie sprawiła wrażenie świeżości, dodawała prawdy, rzucała na całe przedstawienie swoisty urok piękna. Pachniało kielec- czyną, naszymi górami, wszędź wierał Żeromski.

Ludzie słuchali zataiwszy oddechy. Rozglądałem się po czysto wymięcionej sali, wpatrywałem się uważnie w twarze starych i młodych i było mi bardzo, bardzo dobrze. Kierowniczką, jak zwykle, popłakała się.

Po skończonym przedstawieniu, podnieśliśmy kurtynę i rozpoczęła się dyskusja. Aktorzy byli w kostiumach, u- charakteryzowani.

Mówiono i o księżniczkę i o Przełęcz- kim i o szkole. Porównywano czasy dzisiejsze z tamtymi. Aż zabrał głos stary Koklet i poruszył nieoczekiwanie sprawę moralności.

Po mojemu — oświadczył stanowczo — cała ta robota Przełęczkiego nie wiele była warta, jeżeli miała zburzyć ognisko domowe Smugoniów. Dobrze się stało, że odszedł. Smugoni i bez niego da radę. A co się tyczy moralności, to ta sztuka powinna i w naszej Złotej Wodzie niejednego rozumu nauczyć. U nas też, nie przynależając, są ludzie, co obnoszą swoją ważność, a za młodymi dziewczuchami się oglądają. Nie ubliżam, ale Jagła powinien z tej „Przebiegaczki” też się czegoś nauczyć. Niech nie lata ani za kuropatwą, ani za przepiórką, a pilnuje Jagliny. Skończyłem.

Na sali powstał rumor niebawym. Jedni pokładali się ze śmiechu, inni

rzucali gromy na Kokleta, że gromadzką sprawę wyciąga przed obcymi.

Stary (jaki on tam stary) Jagła nagle wstał i zaczął ludziom tłumaczyć, iż niesłusznie go posadzają, bo mu takie sprawy nie w głowie. A opiekuje się Kasią, bo ona jest półsierotą. Wypadło to jego oświadczenie jakoś naturalnie, przekonująco i ludzie natychmiast się uspokoił.

To chyba rzeczywiście należy do kategorii nietaktów pedagogicznych. Ale ja naprawdę nie mogę powstrzymać się od śmiechu w czasie odpowiedzi Lucka Miazgi. Mówi Luckek zawsze wspaniale, ani razu nie zająknął się, nie przerwie. Akcentuje we właściwych miejscach, dykcję ma wspaniałą, ale krzyczy, potwornie krzyczy. Najbliżsi jego sąsiedzi zasłaniają rękami uszy, a Franek i Jacek zakrywają głowy marynarkami.

Kierowniczką usiłowała zbadać przyczynę. Ale usłyszała tę samą co i ja odpowiedź.

— Jak będę mówił zwyczajnie, to się zmył. Już próbowałem, ale nie mogę. Zaraz się zatnę.

Próbowałem zbadać, czy chłopak aby nie wykuwa całych partii materiału na pamięć. Nic podobnego. Właśnie udowodnił, że rozumie doskonale lekcje i powtórzył inteligentnie, bardzo rozsądnie, szczegóły wykładu z historii, uzupełniając je swoimi uwagami i porównaniami.

Władza zainteresowała się Luckiem. Posłaliśmy do domu Miazgów. Dom jak dom: izba, kuchnia — normalny. Rodzice i rodzeństwo — robią wrażenie bardzo przeciętnych. Ale kierownik wydziału nie dawał za wygraną, nacierał ostro, aż doszedł prawdy. Okazało się, że ojciec Lucka jest sumiennym odbiorcą wszystkich audycji BBC, Madyry i różnych pokrewnych. Obawiając się, by sąsiedzi lub niepożądani słuchacze nie zwrócili uwagi na to jego przyzwyczajenie, każe synkowi jak najgłośniej powtarzać lekcje, aby przekrzywić londyńskie bum, bum. Proceder ten trwał od trzech lat.

I pomyśleć, że kilka razy odwiedzałem Miazgów, rozmawiałem z nimi długo i serdecznie i wychodziłem z niczym. A kierownik za godzinę dowiedział się więcej niż ja w ciągu dwóch lat. Co tu znaczy doświadczenie, umiejętność rozmawiania z ludźmi, kunszt. Stary Miazga żegnał nas z lekkim żałowaniem. Właściwie nie prosił nawet o dyskrekcję. A kierownik doradzał:

— Teraz, wiecie, już nie trzeba aby wasz syn zaglądał audycje londyńskie i madyryckie. Władza już wie, że słuchacie, bo ja przecież jestem członkiem prezydium powiatowej rady narodowej. Jeżeli musicie słuchać, no to słuchajcie, ale chłopcu pozwólcie się uczyć w normalnych warunkach.

Doświadczenie z Luckiem było dla mnie pogłówną lekcją na czym polega brak współpracy domu ze szkołą. Stąd wynikają wszystkie konflikty. No bo jakie? Chłopak chodzi kilka lat z tajemnicą, nie zwierza się żadnemu nauczycielowi, należy do harcerstwa, jest aktywistą, czyta z zapalem książki współczesnych pisarzy, a obok tego pomaga ojcu w słuchaniu najbardziej potwornych bredni o swojej ojczyźnie, o rządzie, o narodzie. Oto jak powstaje fikcja wychowawcza, zakładanie, mistyfikacja. A dalsze skutki? Kawalerka, chuligaństwo, brak poszanowania dla wszystkich autorytetów, niewiara, przyzwyczajenie do fałszu „napiewateliwo”.

Byliśmy z kierownikiem u Miazgów jeszcze przed pół rokiem, a Luckek ciągle jeszcze wykrzykuje na lekcjach...

Byliśmy w Krakowie. Z inicjatywy MOZ pojechaliśmy, my ze Złotej Wody i koledzy z Orłowic do teatru na Ruy Blas. Moim zdaniem przedstawienie ciekawe i dobrze wystawione. Nie byłem na przedstawieniu francuskim i nie widziałem, niestety, Gemarda Filpa, ale myślę, że i nasza wystawa nie jest znowu gorsza.

Wracaliśmy pod wrażeniem sztuki i recytowaliśmy. ... jakże się dzieje, że byłeś jak prorocy przez Boga wybrani Tak straszliwy i wzniosły? — Bo kocham cię pani! Krysia powtarzała ten cytat kilkakrotnie, przymknawszy powieki, ja szeptałem naśladując timbre głosu Ruy Blas: „Bo kocham cię pani...”

Mówiliśmy potem przez całą drogę różne wiersze i odgadywaliśmy autorów. Bardzo lubię teatr. Jeżeli będę miał więcej pieniędzy, będę jeździł na każdą premierę: raz do Kielc, drugi raz do Krakowa.

Oczy Krysi świecą wieczorem, jak... jak co? Jak gwiazdy. Banalne. Jak odbicie księżycyca w lustrzanej tafli jeziora. Ho, ho!

WALDEMAR BABINICZ



Józef Hałas

Dzieci na podwórku (olej)

UCZCIWY REPORTER

(Dokończenie ze str. 1)

— Że co? Kto miał rację? — Matka.

Reporter opadał z sił.

— No więc jakże, do stu diabłów! — wrzasnął nagle wywijając notese — jakże w końcu z wami jest? Tamci mówią o was „niepewny”, a tu słyszę — agitowalście za spółdzielnię, kuliacy albo inni wrogowie spalili wam dom?

— Dom? — przerwał Będziak. — Żeby tylko dom! W 1949, przy pierwszym skupie zboża, za to, że agitowałem za skupem, spalili mi wszystkie stogi w polu! Kto? Nie wiadomo. Kamień — woda... UB szukało, nie znalazło.

— No, proszę bardzo! — reporter podniósł się i znów siadł z pasją na swojej desce — no, proszę, wrogowie was palą, a wy powiadacie: matka ma rację! Człowieku, na miłość boską, zlitujcie się!

Będziak pokręcił niecierpliwie głową. — Towarzyszu, gadacie, jakbyście z księżycą spadli albo nie znali życia...

— Kto wie — szepnął zmiażdżony życiem reporter — kto wie, wobec tego co tu słyszę, wszystko jest możliwe.

— Jakże nie miała racji, jeżeli do spółdzielni naprzyjmowali samych łobuzów, „zalegowców”, samych...

— Naprzyjmowali? A gdzie was wtedy ziemia nosiła?

— Co miałem do gadania? Chcieli koniecznie spółdzielnię „zapiąć” na 22 lipca, żeby święteczna i któraś tam... setna!

— Ach tak?

— Tak! Tak! Sto razy tak! A mnie tu gromy roznoszą! Popatrzcie! — wyciągnął przed siebie dłoń z rozcapierzonymi palcami — popatrzcie! Janosik — pół roku w więzieniu siedział za dostawy, za „zalegi”, wyszedł i furt nie chce dawać, powiada, że jak go „zamkli”, to gospodarza upadła i teraz nie ma z czego...

Jeden palec zgął i przykleił do szerokiej dłoni.

— Grzegorzewski — miglanc, „zalegowiec” taki sam, dał mi ostatni termin do 15 lipca. Nie dotrzymał. Przyszedł do niego z milicjantem, to oknem uciekł, polecał do przewodniczącego Kaczmarska i podpisał statut.

Drugi palec zajął miejsce obok pierwszego. Reporter wpatrywał się w trzy pozostałe jak w czarodziejską kule. Będziak wyliczał:

— Januszkiewicz! Żebyście widzieli jaką on miał gospodarke przed wojną! Człowieku kochany! Nie był kula, nie powiem, ale jakże gospodarzył! Teraz nie imo wódka, wódka, wódka, potajemne uboje, a podatku zalega 14 tysięcy. A teraz on spółdzielca!

— Galant! — Będziak kłui powietrze wskazującym — ten to kto — myślicie? Urzędas. Księgowy GS. Całe dnie w książkach siedzi, o gospodarce ani myśli. Będzie z niego robotnik?

Na dłoni Będziaka został jeden kciuk.

— Jeden Kaczmarek, przewodniczący, chłop do rzeczy. Bez „zalegów”, bez dwóch twarzy, gospodarz troskliwy. Ale on jeden a tamtych piętnastu! Pytam was, towarzyszu, miała matka rację?

— O wilku mowa — powiedział znanymi reporter widząc zbliżającą się staruszkę. Niosła dwa kubki mleka, kopiały talerz jaj i kromkę chleba.

— Macie, posilicie się — postawiła jądo na murawie — posilicie się, panie młody, żebyście wiedzieli, że „win-

dualne” gospodarze chleba — mleka nie żałują...

Widać było z jej twarzy, że mimo słabego ucha, wiele słyszała z rozmowy reportera z synem. Wsunęła ręce pod fartuch i spłótła na znikomym brzuchu.

— Pan widać tyż za chołchozem mójego chłopaka „lajberuje”.

I nie czekając:

— Ale na nic! Ja, panie, tymi pazurami tą ziemię wypracowałam — wyciągnęła przed siebie dwie starcze ręce, jakby urobione z debowej kory — tymi rękami! Mój nieboszczyk pleców od ziemi nie odginal. Pan młody, nie wie co to dwa tysiące rubli. A dwa tysiące kosztował ten zagon. Za cara jeszcze. Z parcelacji. Odrabialiśmy to do samej drugiej wojny. I teraz kiedym lepszych doczekała czasów, oni mnie, panie, do tego chołchozu...

Reporter jadł jajko (na twardo) i nie wiadomo — jajkiem czy ostatnimi słowami Będziakowej — omalże się nie udławił.

Mój Boże — pomyślał, choć był niewątpliwie marksista, — mój Boże, kłóżyło to śmiało rzeć, że ja jestem analfabeta! A na-fa-be-ta! Toż ta „czarna reakcja” powiada: doczekałam, panie, lepszych czasów...

— Stara jestem, panie, roboty się nie boję, groszkiem nikomu nie jestem winna, ziarneczka zjadę do ostatniego, mleka, będzie, z tysiąc nad plan oddałam. I ja mam robić na stare lata na „onych”? — wskazała dłonią na sąsiednią chatę, w której (jak się reporter dowiedział) mieszkał jeden z wylęczonych przez sekretarza „spółdzielców”.

Zaperzyła się staruszką, chusteczkę energicznie ściągnęła pod szyję, zabrała puste kubki i oddalała się truchcikiem. Reporter patrzył za nią, tak jakby to była fatamorgana.

Wracając do redakcji doszedł do wniosku, że premia, którą otrzymał „za wnikiwe obserwacje z terenu wsi” nie należała mu się absolutnie. O wsi i jej istotnych problemach nie miał zielonego pojęcia. Przywoził reportaże „na temat”, zbierał obrazy do z góry obrysowanych ram. Postanowił tedy zwrócić swoją premię naczelnemu. Był to niewątpliwie odruch uczciwości. Ta sama uczciwość kazała mu tym razem napisać tak, jak rzeczywiście „w terenie” było.

Napisał. Naczelny odrzucił materiał z oburzeniem: — Nietypowe! Nietego u was ostatnio z ostrością partyjnego widzenia zjawisk zachodzących w życiu wsi...

Upłynęło kawał czasu. Mówią, że teraz takie tematy specjalnie „idą”. Na wszelki wypadek reporter postanowił zostawić w cieniu nazwę powiatu i wsi, zaś nazwiska bohaterów poprzekręcał dowolnie. Żeby się nie narażać...

A premia? Nie, nie zwrócił jej reporter naczelnemu. Kupił sobie bowiem czapkę — bandykę, ponieważ jego beret został przez powiatowe czynnik (którym ośmielił się powiedzieć, iż nie zawsze mają rację w ocenie spraw i ludzi) — został zakwalifikowany jako atrybut „dżolensztwa”. (Że też takich „boredarzy” przysyłała na poważną „terenową” robotę!). Już sam beret świadczy bowiem o mieszczańskich upodobaniach reportera! A takimemu wara od zwracania uwagi Powiatowym Czynnikom!

BOHDAN DROZDOWSKI

KRONIKA Nr 9

3

Wrzesień

(fragment z poematu „Młodość okupacyjna“)

Złoty Wrzesień pamiętam. Pośród drzew konnica,
Zsiadłe mleko wynoszą w garach i donicach,
A ja stoję u furtki. Wiatr miesza mi kartki,
Ibsena dramat... Ból ruchliwej zjawiska
Tych ulanów na serio w owocach i liściach.
Łubiny, rżyska dudnią. Jęczy pierś ogrodu.
Kraczą nad jabłonią widma samolotów.
Przeciwnotnicze działa grzechocze za bami.
W złotym deszczu sad roni. Drży u furtki kamień.

I zakwitły na niebie róże. Noc kąsała
Światłami bomb. Ja w brzdach przegrziona cała
Blaskiem nieba ludzkiego, ziemię przyjmowałam.
Proch czerwony od łuny, proch czarny, żółta złota.
Kłęczy żołnierz młodzieńki. „Chłopce, niechaj dotknę
Ręki twojej...“ Śmierć na nas rzygała tęczami,
Płaską ziemię tuliłam, a chłopiec karabin.



CZESŁAW SCHABOWSKI

LEKCJA NIENAWIŚCI

U KULIŃCA strach był zakorzeniony głęboko: rajzer ten przywykł przemierzać Polskę wzdłuż i wszerz tak kochał swobodę, że czuło się, iż gdyby popadł bodaj na miesiąc do więzienia — chyba nie wytrzymałby. Duszę tego łazika charakteryzują najlepiej jego własne słowa; odchodząc od nas, rzekł:

— W politykę się nie bawię: to zbekeństwo. Byłem na jednej pierwszomajowej grandzie, ale od tamtego czasu mam dość. Zebrała się brać na Placu Jabłonowskich. Poszedłem. Krzyczą ludzie; „Precz z Piłsudskim!“ To ja też: „Pies go w Oleandry!“ Posłyszał to jakiś kapuś i gwizdek do gęby. A pewien robociarz jak nie wyróżnił frajera w tę świstawkę — aż mu z kawałkiem jęzora i paroma zębami do gardła wepchnął. Tamten na ziemię. Ja — dębał.

Za parę tygodni spotykam kapusia pod Sukiennicami. Nie poznał mnie. Bezrobotni, zauważywszy go, nuż mrugają do mnie. Więc wyszykowałem taką eteceterę: idę za kapusiem, zdejmuję kaszkiet i podstawię pod jego nożki, od tyłu, i tak za nim krok w krok... Bractwo w cichy. Przekupki dygocą ze śmiechu. No, myślę se, parę bajgli na głodny bandzioch — mur! Kapuś widząc że wiara robi z niego jakąś pozmiewajkę — w tył zwrot. A zobaczywszy mój kaszkiet — jakby go zdechłym szczurem w jadaczkę rąbnął. Trzyma jednak fason i do mnie: „Co? jałmużnę ci dać?“ — i pieść mi pod nos! Więc ja w ten deseń: „Nie na grosze nadstawiam czapkę!“ „A na co?“ — pyta kapuś; „Na gwizdawkę którąś pan zjadł na zagrychę pierwszego maja na Placu Jabłonowskich!“

Wiara na rynku — pod arkadami, pod Mariackim, przy Wojciechu, gdzieś nie spojrzal — bawi się jak na filmie z Chaplinem, jeden drugiego cyk pod bok kuksańcem. Ja w nogi. Ale akurat w łapy glinie, który się zza winkla ukazał. I do paki. Nie zasądziłem mnie, ale długo potrzymali i takie dali wyniki, że w politykę już się nie wtrącam...

Co rzekłszy zagwizdał, włożył ręce do kieszeni i pomaszzerował w swoją stronę. Widać, nawet zajął się Kasinca i Mszanie — paki, zabici i ranni, więzieni i inne represje wobec buntujących się górali — nie zmieniły jego poglądów. Okazało się, że częste wrzaski na niewypłacalność dyrekcji, na kwity kredytowe do sklepu zamiast gotówki, to było jakby szczekanie psa, który przyjmując z pokorą baty, boi się pana ugryźć.

Kuliniec poszedł do dyrekcji, tam stał kilku obcych ludzi. Nie zwracając na nich uwagi uparł się, aby go dopuszczono do dyrektora. Kwitu kredytowego przyjął nie może, gdyż chce natychmiast stąd wyjechać i dyrektor musi kasjerowi dać odpowiednie zarządzenie.

Zameldowano o tym. Dyrektor kazał wpuścić Kulińca do gabinetu.

Dyrektor, dzierżawca kamieniołomów, pochodził z Krakowa, gdzie miał wielkie przedsiębiorstwo budowlano-drogowe. Z robotnikami nigdy nie lubił konferować. Był to człowiek ani brzydki, ani przystojny, ale że uśmiechał się niemal zawsze, tedy robił wrażenie sympatycznego. I Kulińca przywitał z uśmiechem:

— Po coś przyszedł, Mały!

To lekceważące słowo — „Mały“ — trochę rozniewało chłopca. Był niskiego wzrostu, to prawda, ale przecież miał 17 lat i swoją dziewczynę, tam, w Krakowie. W dodatku taką, która siedzi w pace, o czym nikomu nie wspominał, bo to... ech, co komu do tego!...

Wśród pobojoisk

Dziś koła tu drogę motają błotnistą
na szprychy
i kopyta
do upadłego brną w szarugach.

We mgłę zawieszistej
koń uszami strzygąc przycicha
i nie śmie stąpać. Znasz-li
ten kraj?

Ocieram z czoła pot kroplisty.
Czyż nowe widmo wojny w polu czyha?
Czemu choć byłem, trawy nie wypaśli?
Bylicą czarną porośł ugor.

Zasieki koleczaste na ziemi pokrytej
i miny zaszyte
w bunkry, okopy...
Lśnią kości, których nie ukrył
ludzkich ciał popiół.

Koń staje i strzyże uszami,
na polu kolek w helmie.
Ruszyć tu traktorami,
uprawiać ziemię...

Tajniak wyjął z portfela banknot pięćdziesięciozłotowy i zaszeleścił nim pod nosem Kulińca.

Chłopcu zaświeciły oczy. Wyciągnął rękę w stronę pieniędzy, w takiej ilości na raz jeszcze w swym życiu nie miał.

„Ech, ileż za to można kupić kielbasy, kaszanki, bułek, czekolady!“...
Tajniak szeleszcząc banknotem odsunął się nieco; a chłopiec acz świecił nadal oczyma — stał w miejscu. Więc dwójkarz znów wysunął się do przodu i mówił: „No, no mały“ — manewrował banknotem, jak kawałkiem szelera przed pyskiem zgłodniałego psa.

Kuliniec wyciągnął znowu rękę, ale zaraz schował ją za siebie, jakby się oparzył. Odwrócił się do okna.

Naraz poczuł na ramieniu łagodnie, ciepło położoną dłoń. Odwrócił się.

Tajniak podsunął mu pod nos — dwa banknoty: na tym drugim, na ślicznym nowym papierku majaczą się cyfra, jaka tylko mogła się we śnie majaczyć. „Boże... jedynka... zero jeszcze jedno zero! A razem — sto pięćdziesiąt złotych!“

Chwycił w rozedrgane dłonie oba banknoty i zaczął je obmacywać, oglądać, wprost oczom nie wierząc: więc naprawdę jest posiadaczem takiej sumy?!

Tajniak okraszył gębę zwycięskim uśmiechem.

— Teraz syp. Przede wszystkim tych z Mszany. Wiesz dobrze, iż się tu kryją i konspiracyj z robotnikami: cała delegacja górali! Gdzieś się tu spotykają z komunistami... No, gdzie? Teraz bracieśzku śpiewaj wszystko! Chyba nie muszę cię uczyć. Z mówki, jaką pałałeś u dyrektora, wnioskuje żeś nie nowicjusz!...

Kuliniec naraz pojął, że wpadł w pułapkę, że dwójkarz żąda niemal tego samego, co szatan żądał za wszelkie rozkosze świata, jak kiedyś uczono go na lekcjach w szkole.

Spłunął rozpaczliwie na banknoty, zmietosił się, zgniół i cisnął pod nogi tajniaka.

„Teraz wyróżni mnie w zęby i będę miał spokój!“ — pomyślał chłopiec, pragnąc takim rozpaczliwym gestem odeprzeć pokusę.

— Cha, cha, cha! — śmiał się tajniak. — Widzę, żeś szczywan facet! Kiedyś tak, to ci dołożę!

Podniósł sponiewierane banknoty, wyprostował je, otarł chusteczką i wyjąwszy jeden banknot, podsunął chłopcu.

— Tfu!

— No, frajerze, nie myśl, że bądzemy targować się do usrań! Śmiesz! Więcej nie dostaniesz, chyba — paka! szczyka o strajku, podjudza robotników, to... pamiętaj!

— A, jeśli o to chodzi, to proszę! Według mnie, robotników podjudza najbardziej... dyrektor i jego kupiec „Saldopokątnik“... „Gdyby oni nie okradali nas — zresztą pan wie, co powinniście robić, aby nas nie podjudzić...“



Rys. T. Kokietek

szedłem po forszę, bo mi trzeba na drogę do domu. Mam dość kamieniołomów! Gdzie się człek nie ruszy — wszędzie gadka o rewolucji. Fabryka — rewolucja, chłop — rewolucja! Wojsko — rewolucja, kamieniołomy też... ki diasi!

Ani się chłopiec spostrzegł, jak popadł w końcu w łazikowskie szederstwo, co dwójkarz wyraźnie odczuł. Zapłonął! Zbliżył się do chłopca, nachylił ziejając od nienawiści twarz do jego twarzy i mówił przez zęby:

— A tam w gabinecie dyrektora jak gadałeś gnoju sakramencki, co?

Dwójkarz widząc, że chłopiec zaczyna się mienić na twarzy; pokazując nową, świadczącą o zawziętości maskę — wycofał się nieco do tyłu i zlagodnieł. Pospacerował chwilę po pokoju, po czym znów podszedł do Kulińca i łagodnie zapytał:

Strajkujesz? No, powiedz prawdę: strajkujesz, czy nie? Jakże więc chcesz, żebym do ciebie gadał? Kto strajkuje, ten bolszewik!

— A choćbym i strajkował, to co, nie wolno mi?

Spuścił głowę.

Na to czekał defensywiarz.

— Powiedz mi, kto tu najwięcej mówi o strajkach i rewolucji! No, nie bój się! Czy w kamieniołomach są jacyś chłopcy spod Mszany? Mów! Dostaniesz nie tylko wypłatę, ale i to.

Kuliniec uradowany z przerwy w torturach, ciekawy też, czyje to fotografie — chwycił je i zaczął oglądać, przekładając zdjęcie za zdjęciem szybko, tak, aby na żadnym nie zatrzymać oczu dłużej, jak na jedno mgnienie.

Były to zdjęcia najbardziej czynnych na terenie kamieniołomów komunistów oraz innych ludzi, których Kuliniec nie znał. Na jednej fotografii migła mu bardziej znajoma twarz, ale ani sekundy dłużej lub krócej nie patrzył na nią, aby tajniak niczego się nie domyślił.

Ale ów świrował oczyma Kulińca, jakby od jednego jego spojrzenia na którąś z fotografii zależało — być albo nie być, tajniaka.

— Nie wiem, o co panu chodzi? rzekł z głupią frant chłopiec, przetasowawszy kilka razy fotografie, jak karty.

Odetchnął. Był pewien, że ani fotografii Brodalki — bodaj najczystszejgo komunisty w kamieniołomach, ani żadnej innej nie przytrzymał przed oczyma dłużej niż pół sekundy...

„Więc o co chodzi... Sprawa nie byle jaka, — i on teraz trzyma nitkę tej sprawy w swych rękach. Jedno pociągnięcie, pstryk — i nitka się przerwie... O, ho! Nie z byle jakiej stali ta nitka! Może sobie ten hatrak co chce myśleć, ale o działaczach strajkowych wie... zero. Cała ta banda kapusiów i hatraków byłaby beznadziejna, gdyby nie mieli na usługach zdrajców... Czy w kamieniołomach są jacyś odstępcy? Kto wie!... Może już jakiś kapuś udający robotnika doniósł o działaczach? A ten, tutaj, jeszcze chce kogoś wydławić! Tylko, że synały się jak najciemniejszy frajer: wydławił ze swego lamusa tak wyświechtany rekwiwit, że aż chce się rzygać... Dureń!“

— Mdlu mi się robi, jak pan to wszystko mówi — śmiał się chłopiec zadowolony z siebie i utwierdzony w słuszności swych domysłów. — Przecież to takie znane!

Hatrak milcząc wyjął rewolwer. Jednak i tym razem nic dobrego nie wyczytał w oczach chłopca, bo stał w nałężytej odległości.

— Bohater! Głina! Tfu? — rzucał się chłopiec.

— Z takim gnojem jak ty, tylko pal — spłuwaj!

— A kto ciebie odgnoil, ty... glino!

K zrywda ponosiła chłopca — może za daleko — zdawał sobie sprawę.

— Ale postanowił nie liczyć się z niczym. Sposoby, jakie tu pokazał funkcjonariusz defensywy — budziły w nim obrzydzenie. Niech wie ta gniada, ten padalec, że zwyciężaj, bezdomy rajzer ma więcej honoru niż ten „urzednik państwowy“. Nie był w stanie dłużej panować nad sobą, i z całą już świadomością igrał z ogniem.

Tajniak zaś, którego epitet: „głina“ mało nie rozsądził, zaczął się pienieć i wrzeszczeć:

— Zaczynasz inaczej gadać, czy nie!

I trzymając rewolwer przed sobą, ruszył na więźnia.

Cios kolbą rewolweru w rękę którą się zaskonił — zwał Kulińca na podłogę. Zerwał się jeszcze i dopadł tajniaka, ale uderzony rewolwerem w brzuch — opadł i całym ciałem przywarł do ściany, płacząc i bijąc ją pięściami, — na niej wyładowując całą młodzieńczą wściekłość i bezsilność wobec przemocy.

Skorzystał z tego defensywiarz: całą siłą kopnął chłopca, odrzucając go jak piłkę od ściany do kąta. Kuliniec, uderzony równocześnie kolbą pod żebra, z kąta pościel pod okno; spod okna do ściany; spod ściany znowu w kąt, dwójkarz poganiał chłopca kolbą, pięściami, butami i kolanami, walił bez opamiętania i rzywał najwstrętniejsze wyzwiska.

Razy te poczyniły nie lada spustoszenie w psychice więźnia. Przestał bowiem bronić się i bezsilny padł na podłogę: przytomny, ale oślepiały. Przylegając twarzą do podłogi próbował koić ból i zdenerwowanie chłodem szorstkich, brudnych desek. Przymknął oczy, stracił na chwilę słuch. Żadne naturalne dźwięki nie miały dostępu do jego świadomości. Jeszcze przed chwilą pragnął przeobrazić się w Janosika — mściciela, a teraz marzył — aby stać się małym, ledwo widocznym robaczkiem wleźć do byle szparki i nie patrzeć na świat.

Naraz zachichotał jak wariat:

— Przecież to śmiech, śmiech, dać się tak poniewierać, skoro się wie, że lada dzień będzie rewolucja! Re—wo—lu—cja! — zakrzykiwał jak opętany, bijąc pięściami podłogę.

Widok maltretowanego chłopca był tak przerażający, że tajniak uciekł. Kuliniec zaś po okresie rozpaczliwych wybuchów — począł się skupiać: spojrzął zniechęca pod opadniętą na czoło włosów: tajniaka w izbie nie było.

Jeszcze nie wierzył. Zdawało mu się, że kapuś zaskoczony i zaniepokojony gdzieś tu stoi — jak bokser nad powalonym przeciwnikiem czekający nowego momentu, aby go grzmotnąć.

„Nie, dwójkarz to nie sportowiec. To oprawca, który myślał iż zabił ofiarę odszedł aby przywołać ludzi do uprzątnięcia trupa!“

Chłopiec szybko ruszył ku drzwiom: były otwarte.

Lecąc do kamieniołomów, jak maniaki powtarzał jeszcze jedno i to samo: Przecież to śmiech dać się poniewierać skoro będzie rewolucja... rewolucja... rewolucja!

CZESŁAW SCHABOWSKI

Trzy westchnienia

1.

PRZED pewnym czasem miałem okazję przejrzeć bardzo ciekawą książeczkę, wydaną w Paryżu, dawno, bo jeszcze w 1925 roku. Autor, nazwiskiem L. Dugas rozwodzi się szeroko nad zawodową jakoby chorobą literatów — bojaźliwością (timidité), przy czym rozważania swe uwierzytelnia szeregiem przykładów. Szczególnie ciekawa jest historia Monteskiusza, jednego z najśmielszych, najbardziej obrazoburczych umysłów swego wieku. Otóż Monteskiusz, z powodu swej nieśmiałości, musiał porzucić wszelkie godności urzędowe i zaszyć się na odludziu.

Dugas zatrzymuje się zresztą na akcesoriach zewnętrznych, życiu osobistym pisarzy — i to spłyca jego rozważania. Stawia jednak dalej tezę, która pomimo swej naiwności, daje cokolwiek do myślenia: nieśmiałość artysty, brak pewności siebie znajduje się w stosunku wprost proporcjonalnym do wielkości jego talentu i osiągnięć.

W arcydziele współczesnej literatury polskiej, które krytyka nasza uczciła zgodnym milczeniem, w tumiowskiem przekładzie poematu Niekrasowa „Komu się na Rusi dobrze dzieje” (1953) — znajdujemy często w tekście wielokropki, a niżej znamienne odsyłać: „Zakończona tego rozdziału nie udało się przełożyć...”

Na zwykły rozum można by zapytać: jak to? Poeta, który zna najdrobniejszy takt i włókna języka rosyjskiego, nie mówiąc już rzecz prosta, o ojczyństwie, wspaniałym tłumacz, który z niedoścignioną maestrią przenosi do polszczyzny ducha, styl, urzekającą śpiewność oryginału — nagle rezygnuje z wysiłku, co więcej, przynajmniej nie udaje się przełożyć? — Otóż nie, nie w tym rzecz.

Zdaje mi się, że skromny tumiowski odsyłać objaśnia jedną z podstawowych zasad powstawania sztuki. Obserwujemy tu postawę, która znacznie dokładniej ujmuje sedno sprawy niż cechy nieśmiałości czy zalecanego francuskiej pokory wobec tego, co niesie życie.

Po prostu — dokładna samoocena, pełna świadomości faktu, że własny, choćby najdoskonalszy aparat twórczy nie jest chwilami w stanie sprostać niepiasnym nakazom, jakie narzuca materiał — obojętnie czy wzięty bezpośrednio z życia, czy też jako zastępy już w literackim kształcie obcy utwór. Naturalnie, nie poruszamy się wyłącznie w sferze arcydzieł. Pułap możliwości pisarza może być wysoki lub niski — skala jest, jak wieny, bardzo rozległa — ale sam pisarz musi bezwzględnie zawsze mieć przed oczyma ów licznik napięcia wewnętrznego, aby z dostępnego sobie pola obserwacji i doświadczeń wydobyć jedynie to, co dotychczas tkwiło w utajeniu i co jedynie warte jest podjęcia pisarskiego trudu. I jakże przy tym nieodzowna — jak wskazuje tumiowski przykład — jest umiejętność ograniczania się, rezygnacji z elementów, które nie są w pełni, bez reszty nasycone tematem.

Pozwalam sobie westchnąć po raz pierwszy: oby nasze młode pokolenie pisarzy, w zamiłowaniu, szacunku i rozumieniu zasad sztuki, równało wżwzy, do swoich wielkich nauczycieli.

2.

Kilka lat temu jeden z tygodników przeprowadził wywiad z Jarosławem Iwaszkiewiczem z serii „tajniki warsztatu”. Iwaszkiewicz zwierzył się tam m. in. czytelnikom z historii powstania jednej ze swych najlepszych powieści, „Czerwonych Tarcz”. Metoda? Jakis nadzwyczajny czynnik, skalający akcję? Nie było ich wcale. Pisząc pierwszy rozdział, autor nie wiedział, jak się ułożą dalsze losy Henryka Sandemierskiego i galerii innych postaci. W utworze wyrosłym z realnego podłoża historycznego!

Ludzie przyzwyczajeni do tego, że w dzisiejszej naszej powieści figury na szachownicy zostają dokładnie rozstawione na pierwszych dwudziestu kartkach — dowiadują się o tym z przerażeniem. Skok w niezbadaną otchłań... Ale twórca „Czerwonych Tarcz” zapewne nie odczuwał dławiącego strachu, jaki towarzyszy wspomnianej czynności.

Ktoś zauważył, że wchodzi tutaj w grę może sprawa temperamentu, ponieważ pisarzy można dzielić według tego klucza na żywiołowców, konstruktywistów itp. Owszem, jest w tym szczypta racji, ale w zasadzie rzecz rozpatrywać należy na daleko szerszej płaszczyźnie.

Iwaszkiewicz mógł zdać się na własną wyobraźnię w prowadzeniu akcji tylko dlatego, że samo jądro tematyczne powieści, sprawy opisywanego przez siebie środowiska i epoki, już przedtem, znacznie dawniej przysięgły do jego psychiki; tkwił w nich już wcześniej po prostu z osobistego upodobania artysty.

Istnieją matematycy stylu jak Flaubert, istnieją pisarze pokrewni Tolstojowi, w których przymus pisania wyzwala drobna wzmianka z kroniki wypadków. I jedni i drudzy wszelako niezależnie od różnic w metodzie i strukturze wewnętrznej, zanim podejmą świadomy wybór, mają już za sobą olbrzymi, często wieloletni trud myślo-

wy i uczuciowy, który odbywał się w nich samodzielną, bez natrętnych bodźców w kierunku praktycznej realizacji.

Oczywiście, wspominam o tym wszystkim w związku z naszymi dzisiejszymi troskami. Skąd się bierze pływacz, szarość, oschła sprawozdawczość tylu naszych książek? Myślę, że największe spustoszenia szerzy tutaj niedobry duch kombinatorstwa wielu skądinąd utalentowanych ludzi. Ta cecha zakorzenia się w nich najwcześniej, w dniach debiutu, natychmiast po znalezieniu się w tak zwanym kręgu piszących. Zdobyte niewielkim kosztem obserwacje i informacje rozkłada się natychmiast do wybranych przeźornie, „niegroźnych” kształtem foremek. Jak roznieść, poukładać, pozyskiwać zgrabnie kawałki, tak aby całość wyglądała przyzwoicie, a przy tym za nadto nie wyskakiwała przed orkiestrę? Oto główne kłopoty. Po prostu w pilnej krzątaniu, przy zabiegach „praktycznych”, nie starcza czasu na zastanowienie się nad głębszym sensem tego, co się robi, czy suma i waga doświadczeń uprawnia rzeczywiście do przeniesienia ich na papier, czy dojrzała już naprawdę konieczność wypowiedzi? Propozycja oderwania się od środowiska literackiego, zatopienia się na jakiś czas w problemach i dziedzinach blisko i bezinteresownie obchodzących autora (nie mówię o standardowych wypadkach w terenie), co z pewnym opóźnieniem, ale zawsze sownie się opłaca — potraktowanaby została z pewnością jako śmieszny idealizm. A mówię, pokreślam, o młodych.

W dziesiątkach przeciętnych książek wyczuwa się szkodliwe działanie jakiegoś „kolektywnego” umysłu, kolektywnego a rebours, w postaci najzupełniej fałszywej. Wydaje się, jakoby autorzy sami narzucali sobie pewne ciasne normy — w większości wypadków pcha ich niezawodnie ku temu oportunizm, może nawet nie zawsze świadomy. Nowe słuszne hasła zostają rychło skatalogowane jak w usługowym przewodniku.

Skoło na placu rozlega się wezwanie do odtworzenia życia w całej jego złożoności — zaraz zapala się lampka napisem „trudności” i po roku albo po paru miesiącach mamy gotowe, niedobre, sennie uwory pod tytułami: „Trudne dni”, „Trudne sześciacie”, „Trudna miłość”.

Koniunkturalista asymiluje wszystkie, choćby najszczytniejsze zasady na swoją modłę. Pod dotknięciem jego pióra, każde świecące nowym blaskiem pojęcie przelata się w mamną szlamkę. Mimo różnych przestróg, wciąż jeszcze zbyt mało sygnalizuje się te groźne zjawiska, które dyskredytują w opinii wielu czytelników kierunek rozwoju naszej sztuki.

Związek pisarza z rzeczywistością, wywalczony w kilkuletniej batalii, nie może polegać na rutyniarzskim preparowaniu pewnych zespołów faktów i sytuacji, aby potem bezpośrednio prze-

nieść je na czysty kreślarski bristol — z ominięciem tak istotnych chyba „filtrów”, jak pogląd osobisty, sumienie, zdolność wzruszania się pisarza.

Dlatego już po raz drugi, i tym razem głębiej wdycham: obyśmy od nowa odkryli w sobie źródło odwagi i mądrego ryzyka.

3

Poza Szczęsnym z „Celulozy”, który zresztą był i działał w czasach minionych, nie znajdujemy w literaturze współczesnej bodaj ani jednej postaci, w której jakaś grupa społeczna mogłaby rozpoznać swój obraz życia, osiągnięcia, radości, niepowodzenia... Słowem — rozglądamy się bezkrytycznie za bohaterem. Oczywiście, nie idzie o bohatera z moralitetów, albo człowieka, wystającego wysoko ponad przeciętność dzięki swym wzorcowym, heroicznym przymiotom. Tacy więcej zawadzają niż pomagają, przynajmniej w dzisiejszej literaturze. Bohaterów literackich w sensie nowoczesnym widzę w takich postaciach jak — wymieniam — w kolejności epok — Fryderyk Moreau ze Szkoły „serc”, Castor z „Czarodziejskiej góry”, Bogumił i Barbara Dąbrowskiej wreszcie Lewinson z „Kłeski” i Czulamow z „Cementu”. A dwaj ostatni interesują nas najbardziej.

Posucha tego rodzaju daje się u nas dotkliwie odczuć. Wystarczy porozmawiać z przeciętnym konsumentem współczesnych książek. Niedośyt, niedosyt — plynący właśnie z faktu, że pamięć czytelnika nie znajduje punktów zaczepienia, brak jej postaci nadzwyczajnych — w znaczeniu artystycznym, bo w życiu — umiemy zachowywać się całkiem przeciętnie.

Owszem, istnieją wysiłki w kierunku stworzenia postaci, wymodelowanej przez epokę, tego za czym naprawdę tęsknią czytelnicy, nie tylko młodego pokolenia. Rezultaty jednak ciągle mijają się z celem. Ewentualnego bohatera oddarza się od razu, niecierpliwie, gotowym uniformem; ponieważ ma to być z natury rzeczy postać wyeksponowana, autor bardzo kurczowo trzyma ją cały czas za rękę, zakazując surowo nieprzewidywalnych programów powożenia, brania udziału w niejasnych, dwuznacznych sytuacjach. Pisarza kępuje, osłabia rozpęd jego wyobraźni, fałszywe poczucie „zobowiązania”. Wobec czego? Znowu wobec źle zrozumianych zasad typowości.

Istnieją w tej materii i inne hamulce, moim zdaniem, znacznie ważniejsze. Idzie o sprawę proporcji elementów „białych” i „czarnych”. Zastanówmy się: czy wielu piszących zdobył się na wyczerpanie napisania książki o środowisku, w którym działa — przypuśćmy — pięciu osobników ujemnych, trzech uczciwych i dwóch niezdecydowanych? Ach tak, spieszę dodać: są takie zbiorowiska i takie układy, spotyka się je nawet często, i młki z ludzi przytom-

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

„Silni, zwarci, gotowi...”

Wszedł na podwórze. Szabla na rapciach barwnych tańczy, dzwonią ostrogi, Stanał, salutuje. Płoną małe słońca, rzędy orków na jego piersi walecznej.

Teraz czarnymi palcami rozgarnia śmieci, wygrzebuje skórki od chleba, kości.

Kiedy odchodzi, biegną za nim dzieci, które na podwórku, między dwoma zeschłymi drzewkami, bawiły się w Wielką Wojnę. On pokazuje im swój kij z ostrym końcem, swoją wytłuszczoną rogatywkę. Rozdziera zlepięte włosy, wodzi palcem po bliźnie, wodzi palcem...

Idzie, śpiewa... wojenka, wojenka, coż ty za pani...

Chłopy wspinają się na palce, dotykają przypiętych do jego postrzępionej, wojskowej kurtki krąków. Są to kawałki tektury, są to denka wycięte z puszek po konserwach.

Generałowie u boku swych małżonek przerzucają pośliznięte arkusze map, nudząc się wycinając z tektury.

nych nie przenosi tego zaraz na skalę ogólnopaniństwową.

Pewnie, poruszenie „zawikłanych, nie przylegających do wzorca spraw, wymaga znacznego rozszerzenia i zespołu środków pisarskich, komplikuje pracę, no i co bardzo istotne, nie daje żadnych gwarancji. Dlatego niektórzy skracają od razu dystans, przez co zyskują pewność, że dobiegną do mety, choćby nawet w słabym czasie. Lepiej odwrócić proporcje; sześciu pozytywnych trzech wahaających się, jeden wróg. W ten sposób, przy ilościowej, miazdzącej przewadze „dobra”, uzyskujemy już w założeniu pewność, że zło zostanie wytrzebione... kosztem zmnawiania książki, a zatem i odstawienia kilku ewentualnych bohaterów do rzędu drewnianych figurynki.

Chcę być dobrze rozumiany: zarówno na widok układów „białych”, jak i na widok sztucznych konstrukcji z przewagą elementów „czarnych” — od dłuższego już czasu odwracam głowę ze słuszną niechęcią. To jasne. Idzie w tym wypadku o wysiłek poszukiwań, o pasję śledzenia spraw, różniących się w swoim przebiegu od tego, co nie budzi w nas żadnego zastanowienia.

Wiele razy w ostatnich latach wracałem do klasycznego już dziś „Cementu” Gładkova, zastanawiałem się nad niezwykłą siłą, jakąś pochmurną urodą tej powieści; a przede wszystkim — coż to sprawa, że reakcje czytelników są w całości zawsze zgodne z intencjami autora? Wziąwszy bowiem oddzielnie rozdziały i sceny „Cementu” — można by dopatrzeć się w nich łatwo pesymizmu, nagromadzenia niezszczęść, szpetoty, zaciemnionych obrazów. A przecież, jako całość książka jest jednym z najwspanialszych poematów na cześć Rewolucji; odkładamy ją serdecznie przejęci dramatyczną walką Czumałowa, który właściwie stanowi jedyną jaśniejszą postać powieści.

Podkreślam — jaśniejszą — bo i jej nie brak tzw. kardynalnych wad charakteru.

Wymowa książki tkwi nie w zewnętrznych szczegółach akcji lecz w nurcie znacznie głębszym, który określa wielką siłę przekonania pisarza, stwarzająca ponad łańcuchem tragedii, uzasadnionych biegiem historii ciężkich załamań i kłesek ludzkich — nowy, czysty klimat optymizmu. I w tych właśnie okolicznościach rodzi się nowy bohater literacki.

Rozlega się u nas coraz donośniej wołanie o epikę. W naszych niezwykłych czasach trudno naprawdę uważać za dane takie za wygórowane. Podejmowane w tym kierunku próby nie spełniają jednak pragnień czytelników. Dlatego chyba, że autorzy pragną osiągnąć swój cel raczej przy pomocy mechanicznych środków. Materię utworu rozciągają wszędy i wzdłuż, bez należytej troski o umocnienie osnowy. Powstają rozległe panoramy, oparte o słuszną ambicję zobiektywizowania ukazywanego świata. Jednak autorzy ponoszą na ogół porażkę. Zapomina się, że utwór epicki to w ostatecznym rachunku — wielka suma subiektywnych doznań i dociekań, które dopiero organizuje rozległy horyzont zainteresowań oraz sumienie społeczne pisarza. I wreszcie powstanie epiki — tu krąg rozważań się zamyka — łączy się z narodzinami wyrazistych trójwymiarowych bohaterów literackich. Takich, których imiona, czyny, słowa, „wchodzą z czasem w życie powszednie obywatela.

Po raz ostatni tedy pozwalam sobie westchnąć: oby w najbliższych latach w naszej literaturze pojawiło się więcej „Szczęsnych”, „książkowych” a przecież jakże żywych, bliskich i mądrych towarzyszy naszych codziennych wysiłków.

ALEKSANDER ZIEMNY

WOJCIECH DRYGAS

Łyżka do butów

DYREKTOR FRATYKA wyciągnął spod łóżka walizkę i zaczął pakować do niej toaletowe przybory: mydło, proszek do zębów, pędzel, żyłetki... Każdy jego ruch zdradzał najwyższy pośpiech. W momencie, gdy przesuwiał kończyny dolne przez nogawki spodni, rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

— Panie dyrektorze, telefon! — wołał księgowy Szczupalski.

— Nie ma mnie! — huknął basem Fratka, podciągając wizytowe spodnie. — Czy nie wie pan, u czorta, że za dwie godziny mam pociąg, a do stacji piętnaście kilometrów?

Zaczął teraz krzątać po pokoju w jednym trzewiku, z piętą wysadzoną na zewnątrz. Szukał łyżki do butów. Zagał pod szafę, wsuwał nos za kafelkowy piec, macał w szufladach dębowej komody... łyżki nigdzie nie było! Wszakże pacnął się naraz w czoło, olśniony kapitalnym odkryciem, że do nalożenia na stopy nowego obuwia można użyć przecież zwykłej biurowej łyżki. Zbiegł na parter, gdzie mieściły się pomieszczenia kancelaryjne POM, w samych tylko skarpetkach.

— Halo! — darł się w niebogłosy księgowy Szczupalski. — Nie słysze was! Halo!!!

— Oby tylko nie ktoś z Warszawy! — westchnął Fratka. — Ta przeklęta łyżka...

Dopiero w piątą szufladzie znalazł to, czego szukał. Porwał biurową linie i popędził z powrotem na górę.

— Frankosiu! — rzucił po drodze napotkanemu traktorystę. — Bądź tak uprzejmy, chłopcze, wpasuj do mnie po walizkę. Trzeba przytroczyć ją do roweru. Za niecałe dwie godziny mam pociąg, a tu, cholera, nie się nie klei...

Traktorzysta kiwnął głową, ale nie omieszkał także zdradzić właściwego celu swych odwiedzin.

— Bo to, szefie — wyjaśniał — przysłała mnie właśnie dyspozytor Kiszka. Mam powiadomić, co ze stacji kolejowej idą dla nas środki lokomocji.

— Jakże środki lokomocji?

— Nie mówili, ale Kiszka powiada, co wydaje mu się, że pewnie te przyobiecane „Skody”, a najmaniej motocykle. Będzie musiał szef osteplować komisyjnie odbiór...

WOJCIECH DRYGAS

— Psiakrew! — rąbnął dyrektor nowymi butami o podłogę.

— Przez trzy lata rozbijałem się po spółdzielniach produkcyjnych na rowery i piechotę, głupiego grata wybił się nie mogłem, i raptem dziesiąt, kiedy... — zerknął na zegarek — kiedy do odejścia pociągu zaledwie półtorej godziny... A do tego jeszcze ta przeklęta łyżka!

W drzwiach stanął bezszelestnie księgowy Szczupalski.

— Okazuje się, dyrektorze, że to Młeczak dzwonił z województwa. W ciągu dwóch dni mamy im podesać sieć rozmieszczenia agronomów. Młeczak powiedział, żeby wykaz był aktualny, nie żadne pi razy oko, bo nas rąbną na egzekutywie.

— Na egzekutywie? — wzdragnął się Fratka. Linia biurowa przy pomocy której usiłował wcisnąć piętę do buta, pękła z trzaskiem.

Szczupalski zwiślał smętnie głowę.

— No cóż, ja rozumiem, że pan dyrektor musi zaraz wyjechać, ale czy taki Młeczak zrozumie? A tu polityczny na kursie, instruktorzy w terenie, zostane całkiem sam... Jak w pojedynkę sporządzić sieć rozmieszczenia? Gdybym chociaż miał jakiś środek lokomocji... — szukał mocniejszych słów dla zobrazowania groźnej sytuacji, gdy wtem, dość nieoczekiwanie, zawołano: — Dyrektorze, zjeżdżcie na dół! Lokomocja przyszła!

— Słyszysz, pan? — skoczył Fratka do księgowego. Chciał go pocałować w czoło, ale tamten był wyższy i usta dyrektora zmiażdżyły mu nos.

— Bo!!! — jęknął Szczupalski, lecz dyrektora już nie było. Przemierzał dziedziniec, nuciąc jakąś piosenkę!

Raptem przetarł oczy i raz jeszcze wybuchł: — Jęknął! — Fatamorgana? Nie, to nie było żadne złudzenie. Opo- dlat remizy przysiadł na dyszlu grabiarki dyspozytor Kiszka, posilając się kromką chleba z serem. Do chleba wyciągnęła łeb siwa kobyła. Kiedy dyspozytor odrzął ją łokciem, opuszczała szybko pysk i z wielką wprawą sku-

bała sznurowadło, które dyndało u jednego z jego butów. Oboje tworzyli doskonały wyraz bez troski.

— Gdzie są „Skody”? — zachrypiał dyrektor Fratka. — Gdzie motocykle? Co to ma znaczyć?

— A bo ja wiem? — odrzekł z flegmą dyspozytor. — Mam to bydlę komisyjnie przejąć, zaprowiantować i wprowadzić czym prędzej do eksploatacji jako środek lokomocji.

Księgowy Szczupalski poczerwieniał z oburzenia.

— Zaprowiantować? — wrzasnął.

— Przecież mamy tylko benzynę. Nie wstawili mi do planu ani pasz, ani funduszy na wybudowanie stajni. I gdzie jest brzyzka? Gdzie jest jakaś uprząż? Ani jednego grosza nie dali!

— Mnie tam nie do tego — ziewnął dyspozytor. — Nie ja będę wisieć, jeśli ta pokraka zdecnie nam z głodu — zerwał tekturową karteczkę wiszącą u łba kobyły i podał księgowemu. Szczupalski przeczytał głośno: „Od wczoraj nie nie żarła — nakarmić”.

— Tam do kafełki złapał się za głowę.

— To ona może zaraz zdecnie?

Rozejrzał się bacznie po wielkim dziedzińcu. Niestety, był to obszar pustynny, pozbawiony jakichkolwiek zielonych nieużytków. Nawet darń w pobliżnym rowie upodobała się do zarzewiającej blachy.

— Żeby chociaż garść siano!

— Siano jest! — zauważył dyspozytor. — Widziałem parę miesięcy temu, jak napychali nim sienniki dyrektora...

Na dźwięk słowa „dyrekcja” twarz dyrektora Fratki, która dotąd nie wyrażała nic prócz grozy — pokryła się zielonym cieniem.

Zabierzcie sienniki politycznego — wymamrotał szybko. — On na kursie...

Odwrocił się na pięcie i ruszył w stronę biura. Szedł chwiejnie, jak człowiek, który w krótkim czasie doświadczył wiele. W ślad za nim podążyli Szczupalski i dyspozytor Kiszka, z tyłu wlokła się ocieplała kobyła.

Przed budynkiem administracji natknęli się na traktorzystę Frankowskiego, który wyciekiwał ponuro z przygotowanym do drogi rowerem.

— Za późno, Frankosiu... — załkał dyrektor. — Ta przeklęta łyżka!

Całą gromadą wtoczyli się schodami na górę. Dyspozytor zabrał się od razu do opróżniania legowiska, na którym sypiał twardo kierownik wydziału politycznego.

— To będzie kolacja! — zawyrokował. — Ale co damy jej na jutrzejsze śniadanie?

Dyrektor Fratka objął czułym spojrzeniem swoje łożko, popatrzył na zgłębienie pozostawione w nim przez ciężkie ciało.

— Brać! — wrzasnął brutalnie głos dyspozytora.

— Bierzcie... wyszeptał Fratka, kryjąc twarz w dłoniach. I tak nie będę mógł spać tej nocy. Smutne jest to, że o trzystu kilometrów stąd oczekują mnie oni!... Pięć poczywych ciotek, szwagierka z bratem, stryj Teofil, stara babka w żalobie... — załamał mu się głos.

W oczach traktorzysty Frankowskiego załśniły łyzy wzruszenia. Nachylił się do ucha księgowego:

— Na pogrzeb jaki jechał, czy co?

— Gdzie tam, na pogrzeb! Na własny ślub! Już po raz czwarty, ale zawsze mu coś przeszkodzi.

— Biedny szefuniu... — stari zę Frankowski, a głośno zauważył: — Nie mogła to szanowna narzeczona do nas przyjechać? I u nas ludzie śluby biorą.

— Próbowaliśmy wiele razy — westchnął dyrektor. — Ale...

— Ale matka nie pozwala? Albo może ojciec żył?

— Ba... Ona jest przecież taka, jak i ja...

— Sierota?

— Nie, wysunięta... Wysunięta na stanowisko dyrektora POM.

Spod siennika wyleciała z brzękiem łyżka do butów.

Dyspozytor Kiszka powiedział:

— Teraz, towarzysze, zastanówmy się, co temu bydlęciu dać na obiad!

WOJCIECH DRYGAS

KRONIKA Nr 9

5

Zwycięstwo reżysera

Nie tylko był dobrym Aktorem i świetnym Autorem, ale także starał się zawsze uprawiać filozofię.

Grimarest

BOHAN KORZENIEWSKI dał nam naraz dwie interpretacje molierowskiego Don Juana — literacką i sceniczną: pierwszą znajdujemy w świetnym essay'u „Sekrety Don Juana”, zamieszczonym w programie Teatru Nowego; drugą oglądamy na scenie. Są to wypowiedzi równorzędne, których niesposób rozpatrywać z osobna, niezależnie od siebie. Pierwsza jest teorią, druga — praktyką.

W tym więc wyjątkowym wypadku recenzja ma prawo być próbą zmierzenia odległości dzielącej zamyśl od — jego realizacji.

Sekrety Don Juana? Dla Korzeniowskiego nie ma sekretów. W swym błyskotliwym essay'u podejmuje i przeprowadza całkowitą racjonalizację postaci Don Juana. Rozprawiwszy się na wstępie z burżuazyjną krytyką, która najbardziej dramatyczny utwór Moliera pomawia chętnie o zagadkowość, niejasność i niezrozumiałość, Korzeniowski maluje realny i przejrzysty portret dworskiego libertyna na tle jego epoki. Portret bez jednej smugi cienia, całkowicie wyjaśniony historycznie. Oddajmy sprawiedliwość Korzeniowskiemu: jego wizerunek Don Juana przewyższa egzegezę Boya. Boy, moralista, właściwie nie wykracza poza moralno-psychologiczną charakterystykę Don Juana, gdy Korzeniowski pogłębia ją historycznie i społecznie. Ściślej mówiąc, tam gdzie Boy posługuje się małą historią (anegdota), Korzeniowski widzi wielką historię (determinanty). To rzekłszy, stwierdzimy, że w ocenie moralnej (niezmiennie ważnej) Don Juana Korzeniowski godzi się z Boyem: dla obu Don Juan jest niegodziwcem, pasyżem, bezczelnym pankiem, łajdakem i obłudnikiem. W oczach Korzeniowskiego jest ponadto obłudnikiem dwojakim: libertynem, dla którego libertynizm antyreligijny jest jakąś postacią komfortu przywdziewając maskę świętości. Takie ujęcie Don Juana, choć Korzeniowski, moim zdaniem, nieco upraszcza zagadnienie obłudy, wydaje się słuszne. W istocie, pod wąsko historycznym kątem widzenia, Don Juan jest produktem rozkładu feudalnej arystokracji czasu Ludwika XIV, lichą kreaturą, która powinna budzić w nas oburzenie i wzdąć.

A teraz siądmy w fotelu teatralnym i przyjrzyjmy się uważnie temu, co się dzie-

je na scenie. Oto Don Juan-Lutkiewicz: młodzieniec nie tylko przystojny, ale i czarujący, pełen wdzięku, nonszalanckiej swady, niepokojącej inteligencji; jak powiada Boy, „ma wielki styl, żywe poczucie honoru... ma odwagę i niezłomność nawet wobec piekła”. I patrząc na tego Don Juana, ani rusz nie możemy odnaleźć w sobie oburzenia ani wzdąć. Czyżbyśmy byli tak zepsuci, tak zniewoleni, że nie widzimy jego występku, jego łajdactwa, jego perwersji? Widzimy, widzimy! Ale cóż z tego, kiedy Don Juan ma osobliwy dar: każdy swój uczynek od razu naświetla świadomością — czasem w dłuższym monologu, czasem w krótkiej olśniewającej replce. Po każdym uczynku, a niekiedy i w trakcie działania, następuje automotywacja psychologiczna, która relatywizuje znak moralny czynu, podaje go w wątpliwość, niweczy jego obiektywny sens. Na przykład, w odpowiedzi na indagację Sganarela, czemu porzucił Elwirę, Don Juan wygłasza monolog, który jest bravurowym kawałkiem introspekcji, kawałkiem rozprzegającym doniosłość moralną

Wiele do myślenia daje scena z żebrakiem, o której Korzeniowski powiada, że tylko tutaj „Don Juan pozwolił sobie na ostre szyderstwo z okrutnej obojętności nieba na ludzką nędzę, wyprowadzając w tym o wiek Woltera i deistów”. Otóż scenę tę zamyka Don Juan zdaniem, które przez długi czas intrygowało komentatorów: chcąc dukatem wymusić na żebraku bluźnierstwo i widząc, że ten nie da się znieprawić („wół umrzeć z głodu”) Don Juan, ujęty stołczyzmem tego parasa, rzuca mu monetę i dodaje: „Masz, daję ci go przez miłość ludzkości”. Zdanie prekursorskie, gdyż po raz pierwszy słowo „ludzkość” użyte w nim zostało, w tym znaczeniu, w jakim zaczęto go używać w okresie rewolucji; zdanie będące wspaniałym rzutem świadomości, gdyż odwracając sens postępu Don Juana nie oznacza przecież wycofania się z pozycji ateizmu, przeciwnie — formułuje humanistyczne credo: nie Bóg jest ważny, ważna jest ludzkość. Nie dziwnego, że już po drugim przedstawieniu sztuki cały epizod z żebrakiem został skreślony przez cenzurę policyjną i dopiero w r. 1847 powrócił na scenę. Otóż epizod ten jest kluczowym momentem sztuki, bez którego postać Don Juana nie miałaby

domość już to poznawczą, nagłymi błyskami rozświetlającą mroki rzeczywistości, już to destrukcyjną, relatywizującą własne, etyczne jednoznaczne czyny. I tak właśnie odbieramy Don Juana: jako bardzo nam bliską świadomość, dociekliwie przytomną i pełną sprzeczności — a nie tak jak postulują teoretycy Korzeniowski. Zamiast bezczelnego panka, łajdaka i świętoszka, ukazując nam się na scenie intelektualista, który przez cały niemal ciąg sztuki toczy dysputę z własnym sumieniem.

Tym sumieniem, zobiektywizowanym i uosobionym, jest Sganarel. Zresztą, jest to wyraźnie powiedziane w tekście: „Tobie, Sganarelu — mówi Don Juan — chętnie przyznaję się do wszystkiego; bardzom rad, iż mogę mieć świadka znajdującego głębię duszy i prawdziwe przyczyny tej zmiany”¹). Świadek wewnętrzny, powiernik i antagonistą, Sganarel jest sumieniem Don Juana, ale jakim? — szczerą sumieniem religijnym, wyniesionym z domu ojcowego, z trybów edukacji w konserwatywnej atmosferze poszanowania dla wiary i konwencji moralnych; sumieniem, które wyzwolony racjonalista Don Juan już przezwyciężył, którego prostactkich wyrzutów i argumentów nie bierze poważnie, a którym chętnie się posługuje jako gietkim i użytecznym dostawcą usprawiedliwień. Korzeniowski nie oszczędza Sganarela i można się z nim zgodzić: postać komiczna, tępak, oportunistą, zabobonny fanatyk, blazen i tchórz — tak, ale jako nęcieli pokutujących w świadomości Don Juana i ciągle jeszcze pokonywanych relikwów prymitywnego fideizmu i przepiślowej moralności.

Gdyby schemat Don Juan — Sganarel przybrał na scenie ten kształt, jaki usiłuje mu nadać w swej rozprawie Korzeniowski, otrzymalibyśmy dość dziwną konfigurację: z jednej strony negatywną postać szlachetnego bezbożnika i racjonalisty, z drugiej — przedstawicieli ludu, obrońców religii i obyczajności, mimo śmieszność urastający do rozmiarów postaci pozytywnej, której kaznodziejskie wywody w obronie wiary mogą jeszcze i dzisiaj trafić do przekonania niedojadego widza.

Na szczęście tak nie jest. Komentarze historyczne, jakie Korzeniowski dopisał postaciom Don Juana i Sganarela, choćby nawet były zgodne z realiami czasu, na scenie nie wychodzą, bo wyjść nie mogą. I po prostu dlatego że „Don Juan” oderwał się już dawno od incydentów i przypadłości historycznych, od doraźnych subiektywnych pobudek, jakie mogły powodować Molierem piszącym swą sztukę — oderwał się i zaczął żyć własnym życiem odśladając epokom późniejszym nowe oblicza i głębsze treści. Salomonowy obrazoburca i utracjusz, podpatrzony przez Moliera w domu Ninon de Lenclos i użyty jako środek wykipienia i napiętnowania ideowego i moralnego libertynizmu, wymknął się z rąk pisarza, zaczął żyć własnym, niezawisłym życiem, stał się celem w sobie i dzisiaj ukazuje nam swą istotę obiektywną — zwiastuna nowożytnej świadomości dialektycznej. Don Juan jako karykatura dworskiego libertyna czasów Ludwika XIV nie nas dzisiaj nie obchodzi; ale Don Juan bardzo nas obchodzi, jako zapuszczenie sondy w dialektykę świadomości.

Na szczęście — powtarzam — tekst Moliera jest uparty i scena ma swoje prawa. Na szczęście reżyser Korzeniowski odniósł zwycięstwo nad egzegetą Korzeniowskim i zdołał pokazać nam postać o wiele bliższą wewnętrznej prawdy Don Juana i prawdy naszych zainteresowań, niż podmiot jego rozważań historyczno-literackich. Stało się tak dzięki temu, że reżyser nie tylko umie szanować tekst sztuki i z precyzyjną wiernością transponować go na mowę środków sceniczych, ale ponadto jest wrażliwy na intelektualne brzmienie utworu, w wypadku zaś „Don Juana” na jego filozoficzny kontrpunkt. I dlatego w jego inscenizacji o wiele sugestywniej przemawiają partie dyskursywne, niż sceny przynależne do farsowo-fabularnej warstwy sztuki. Tak więc świetna jest teologiczna dysputa ze Sganarelem, rozmowa z żebrakiem, diatriba przeciw obłudzie; świetna jest scena uwodzenia dwu wieśniaczek, w której daje się wyraźnie słyszeć szyderstwo ze sztuki i sztuczek uwodzicielskich. Tam jednak gdzie usiłuje wydobyc komizm sytuacyjny, jak w nużącym rozwlekłej scenie wieczery Sganarela lub w przeprawie z kupcem Niedziela, Korzeniowski ponosi porażkę. Za to w scenach symbolicznych reżyser znów odzyskuje przewagę nad teoretykiem: gadający posąg komandora i duchy nie mają ani krztu owej śmieszności, jakiej doszukuje się w nich komentator. Przeciwnie, tak jak sprawa przedstawia się na scenie, symbolizują one coś bardzo poważnego; zaryzykowałbym twierdzenie, że w przebraniu alegorycznym występuje tu swoisty racjonalizm siedemnastowieczny, który powołując się na sąd rozumu zakładał istnienie świata nadprzyrodzonego. Ten właśnie racjonalizm „gassendysta” Molier przeciwstawiał płaskiemu naturalistycznemu niedowiarstwu libertynów. Jeśli co w tej scenie budził wesołość, to na pewno nie gadający posąg komandora, lecz raczej Don Juan, któremu Korzeniowski (nie Molier) każe tchórzliwie umykać z pola. Czy jednak w tej scenie śmieszny ma być Don Juan, który z szyderczą wyniosłością (bo za pośrednictwem loka) prowokuje moce nadprzyrodzone?

W jednym tylko momencie zamierzona przez reżysera ironia umowności teatralnej dochodzi do głosu: mianowicie, w końcu-



Nowości wydawnicze

Lucjan Siemieński — „Ogrody i poeci” — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, r. 1955.

W tym blisko 500-stronicowym tomie znajdują się wiersze, opowiadania, artykuły publi-

cystyczne i przekłady Lucjana Siemieńskiego. Wyboru dokonała Maria Janion, doskonałe przypisy opracowała Maria Grabowska. Może najmniej zadowala w tym wyborze cykl „Publicystyka”. Zawiera on kilka zaledwie artykułów i to na pewno nie najciekawszych. A przecież Siemieński pozostawił ogromny dorobek publicystyczny i literacki i należało do tego tomu włączyć wiele innych jego prac.

Czytelnik kupujący książkę „Ogrody i poeci”, winien koniecznie zaopatrzyć się w wydaną w tym samym wydawnictwie obszerną monografię Marii Janion pt. „Lucjan Siemieński, poeta romantyczny”, która daje dokładny pogląd na życie i twórczość pisarza oraz na epokę, w której działał.

George Bidwell — „Sylwetki powieściopisarzy angielskich XIX wieku” — Czytelnik, Warszawa, r. 1955.

George Bidwell, autor wielu książek o kulturze i obyczajowości Anglii, dał nam dzieło popularne, ale bardzo pożyteczne. Na książkę składa się osiem sylwetek pisarzy angielskich XIX wieku, spośród których przynajmniej kilku jest mniej znanych czytelnikowi polskiemu. Szkice posiadają walory dobrej informacji, napisane są lekko i ciekawie, przeczyta je z zainteresowaniem każdy miłośnik literatury angielskiej.

W MIASTECZKU

(Dokończenie ze str. 2)

dom kultury. Do tego czasu żywić się musi tym, co dają mu teatry kaliski i gnieźnieński i — co spadnie z ust Łodzi.

Przydałoby się jednak, aby tutejszy radiowęzeł, jeden z lepiej działających w województwie, więcej czasu poświęcał wystawianym sztukom. Radiowęzeł bowiem winien być w pierwszym rzędzie, że sztuka Zofii Nałkowskiej „Dom kobiet”, która mogła by się cieszyć powodzeniem, jak cieszyła się w innych miastach, nie cieszyła się nim.

Dyrekcja radiowęzła również winna, jest, że wieczerz mickiewiczowski z udziałem Władysława Rymlowicza przyciągnął zaledwie pięć osób. Dźwięk, żywe słowa mają wyższość nad drukowanym słowem afisza. Sieradzki radiowęzeł nie wykorzystuje należycie tej wyższości. I dlatego zapewne inauguracja Roku Mickiewiczowskiego, mająca się odbyć w tym grodzie przed wielu miesiącami do tej pory przez radiowęzeł nie została zapowiedziana. A szkoda. Miejska i Powiatowa Rada Narodowa mogłaby radiowęzłowi zawiadzieć powzięcie decydującego postanowienia. A tak to wzywając pokorę tej placówki radiowej nie otworzą w ogóle Roku Mickiewiczowskiego. I znówu się zblamują. A prze-

cież radiowęzeł ma do dyspozycji taryby... Dlaczego o wszystkim nie trąbi?

PROSZĘ O MIEJSCE NA PANEGIRYK

„Urodziłem się w małym mieście i lubię atmosferę małych miast... Małe miasto to tyle chwili naszej wesołej i niewesołej młodości... To czasy sanacyjnego marazmu i śpiączki kulturalnej... To stronica utworów Dygasińskiego i Żeromskiego, Czechowa, Lema, to „Kłótnia Iwana Nikiforowicza z Iwanem Iwanowiczem”, chwile tęsknot do czegoś, co nie mieści się w obrębie miejskich rogatek.

Obecny Sieradz różni się zdecydowanie od przedwojennego, ale przydałoby się, aby „Farbiarnia i dziewiarnia” już poczęła pracować na pełnych obrotach i by w Sieradzu został wybudowany dom kultury.

Bym mógł o tym domu napisać, że już wreszcie jest, że Powiatowa i Miejska Rada Narodowa dbają o ten dom, że w jego salach koncentruje się cała nie podrabiana śmietana naszego Sieradza, nie ta, co zjeżdżała w restauracji i pokojach gościnnych D. przy Kościuszki lub przy brydżyku i pokeru na przystanek nad Wantą.

ZYGMUNT FIJAS



„Don Juan” Moliera w „Teatrze Nowym” w Łodzi. Reż. Bohdana Korzeniowskiego, scenogr. Józefa Rachwańskiego. Na zdjęciu: Donna Elwira — H. Bedryńska, Sganarel — J. Woszczerowicz, Don Juan — G. Lutkiewicz.

je na scenie. Oto Don Juan-Lutkiewicz: młodzieniec nie tylko przystojny, ale i czarujący, pełen wdzięku, nonszalanckiej swady, niepokojącej inteligencji; jak powiada Boy, „ma wielki styl, żywe poczucie honoru... ma odwagę i niezłomność nawet wobec piekła”. I patrząc na tego Don Juana, ani rusz nie możemy odnaleźć w sobie oburzenia ani wzdąć. Czyżbyśmy byli tak zepsuci, tak zniewoleni, że nie widzimy jego występku, jego łajdactwa, jego perwersji? Widzimy, widzimy! Ale cóż z tego, kiedy Don Juan ma osobliwy dar: każdy swój uczynek od razu naświetla świadomością — czasem w dłuższym monologu, czasem w krótkiej olśniewającej replce. Po każdym uczynku, a niekiedy i w trakcie działania, następuje automotywacja psychologiczna, która relatywizuje znak moralny czynu, podaje go w wątpliwość, niweczy jego obiektywny sens. Na przykład, w odpowiedzi na indagację Sganarela, czemu porzucił Elwirę, Don Juan wygłasza monolog, który jest bravurowym kawałkiem introspekcji, kawałkiem rozprzegającym doniosłość moralną

tej pełni, jaką ma na scenie (nie w artykule).

Podobnie upraszcza Korzeniowski kwestie obłudy, twierdząc, że „pochwała obłudy”, wygłoszona przez Don Juana po jego pozorowanym nawróceniu się przyswajała go właśnie jako obłudnika. Wprost przeciwnie: ta nieubлагana, pełna gniewnej pasji analiza mechanizmu obłudy, to przeświecenie jej aparatem świadomości całkowicie „zdejmuje” fałszywą konwersję Don Juana, pozbawia ją sensu i wagi, czyni z niej mechanicznie nakładaną maskę, podczas gdy u Tartufera obłuda jest maską zrośniętą z twarzą. Nawrócenie się Don Juana jest może kłęką poniesioną w walce z hipokryzją, ale nie zdradą.

I tu zbliżamy się do sprawy istotnej. Don Juan, jakiego Korzeniowski pokazał na scenie, nie ma nic wspólnego z Don Juanem, jakiego narysował w swej rozprawie literackiej. Don Juan sceniczny nie jawi nam się jako bohater negatywny. Zresztą to kryterium nie da się zastosować: Don Juan to postać dyskusyjna, skomplikowana i wielostronna, wewnętrznie rozdarta między pozytywny libertynizm filozoficzny a negatywny libertynizm moralno-obyczajowy, świa-

wym zejściu Don Juana do piekła. Ale i tu ironia jest wieloznaczna. Korzeniowski chce tym sposobem powiedzieć: nie wierzyć w tę całą butaforę, Don Juan żyje dalej i bróń bezkarnie pod maską dewocji. Rzeczniczy moralności odpięają z trwogą: żyje dalej, a więc nie ponosi kary za popełnione zbrodnie. Od siebie dodam: żyje dalej, albowiem świadomość jest wolna i nie podlega zewnętrzny, mechaniczny rygorom. Wszystkie te interpretacje są równie uprawnione i równie dowolne. Bo też Don Juan jest osobnikiem dwugłowym i wielopostaciowym: nie darmo chwytali go się różni pisarze różnych epok upatrując w nim coraz to inny sens, odpowiadający danej sytuacji społeczno-historycznej, danej fazie kultury.

Co w pracy reżyserkiej Korzeniowskiego jest najciekawsze, to umiejętność scenicznego przetwarzania intelektualnych i światopoglądowych wątków sztuki. Nic zatem dziwnego, że pod kierunkiem takiego reżysera Gustaw Lutkiewicz stworzył postać, która precyzyjnie teoretycznym konstrukcją egzegety. Mimo że nieco zbyt młodzieńczy (bardziej by mu odpowiadał wiek hamletowski) i zbyt patetyczny w chwilach kłedy rola wymaga ironii i sarkazmu, jak w „pochwałach obłudy”. Don Juan Lutkiewicza jest przecież człowiekiem pełnym, mieniącym się rozmaitością znaczeń, przykuwającym uwagę widza od pierwszej do ostatniej sceny. W jednym tylko momencie zawodzi całkowicie, ale nie ze swej winy, bo w momencie, w którym reżyser nie uszanował tekstu autora. Korzeniowski, chcąc w swoim przekładzie „Don Juana” odbić najdalej od wersji Boya, odbiegł w tym wypadku i od Moliera: we wspomnianym już zdaniu, kończącym scenę z żebrakiem, bardzo ważny zwrot: „pour l'amour de l'humanité”, wlewnie przełożony przez Boya: „przez miłość ludzkości”, u Korzeniowskiego brzmi: „z miłości do człowieka” — co jest pogwałceniem litery i ducha oryginału. A przy tym Lutkiewicz wypowiada to zdanie z pogardliwą nonszalancją, odwrócony tyłem do widowni, czym zupełnie fałszuje wymowę aposto-

W której słowo „ludzkość” po raz pierwszy przemówiło głosem Oświecenia. Zaważyła tu koncepcja „postaci negatywnej”, bo przecież ów łajdak, jakim Don Juan ma być w rozumieniu Korzeniowskiego, nie może serio używać tak szlachetnych wyrażań.

Sganarel ma dwóch odtwórców: Jacka Woszczerowicza i Janusza Kłosińskiego. Pierwszy powtarza swą kreację sprzed pięciu lat, która była i jest znakomitą. Pomijając wypróbowaną technikę aktorską, właściwy Woszczerowiczowi refleksyjny humor i analityczna wnikliwość sprawiają, że Sganarel staje się dla młodego bądź co bądź Lutkiewicza niebezpiecznym partnerem zwłaszcza w partiach dyskusyjnych. Plugawa figura? Bynajmniej — wbrew zamierzniom Korzeniowskiego. Poufala czelność, ironiczna perswazja i wykretna uległość — to cechy, które stopione w jedno doskonale pełnią funkcję sumienia Don Juana. Janusz Kłosiński, bardziej bezpośredni i mniej dramatyczny, bliżej jest innej funkcji Sganarela, funkcji farsowego wesołka, Searamoucha z komedii włoskiej. Ale i ten nie budzi antypatii na widowni.

H. Bedryńska (Elwira), B. Baer (wyborny Pietrek), B. Majda i D. Mlewska (wieśniaczki), J. Zieliński (zebrak), W. Piłarski i J. Kozakiewicz (bracia Elwiry), S. Butrym i M. Nowicki (don Luis), E. Wichura (Niedziela) — uczęszczaj swoimi postaciami tyle życia, ile zmieścić się może w roli służebnej, sprowadzonej do jednej cechy. Józef Rachwański otoczył Don Juana atmosferą, w której monumentalny antyk Ludwika XIV (przesuwany fragment z pierwszego i czwartego aktu) sąsiaduje z jezuickim barokiem (grobowiec komandora) i barokowymi również krzewami. Te ostatnie, jeśli w akcie trzecim są po to, aby zaślaniać grobowiec, to w akcie pierwszym, przedstawiającym wnętrze pałacu, nie wiadomo czemu i komu służą.

STANISŁAW BRUCZ

1) Przekład Boya.

Opinie i fakty Do kogo ta mowa?

Oczytelnikach literatury społeczno-politycznej można by powiedzieć, parafrazując znane powiedzenie La Rochefoucaulta o miłości, że wszyscy o nich mówią, ale tak naprawdę, to nikt ich nie widział. Przesada? Być może, ale czy nie jest prawdą, że gdzieś na wysokich „szczeblach” roztaczane są szerokie perspektywy dla czytelnictwa literatury politycznej, a w praktyce — półki księgarń i bibliotek zawalone są tego rodzaju książkami, których nikt nie wypożycza i nikt nie kupuje.

Każdy choć trochę doświadczony prelegent, szkoleniowiec, czy terenowy aktywista wie, że po ciekawej pogadance chłopi chętnie dyskutują na tematy polityczne, zgłaszają szereg pytań, wysuwają wątpliwości, a równocześnie w tej samej gromadzie — książki, które mogą wszystkie sporne kwestie wyjaśnić — leżą w biblioteczce od lat zasnute pajęczyną. Cóż się tedy dzieje? Zainteresowanie sprawami międzynarodowymi jest wielkie, czytelnictwo odpowiednich pozycji natomiast niezwykle słabe.

Zapewne częściowym winowajcą może być bibliotekarz, nauczyciel, czy świetlicowiec — nie umiejący literatury politycznej propagować. Zapewne szwankuje agitacja i w księgarniach. Wiadomo nie od dziś, że znaczny, decydujący procent remanentów w „Domach Książki” stanowią tego rodzaju wydawnictwa. Na ich poczytność nie wpłynęła nawet znaczna obniżka cen, ani prawie przymusowe „przydzielanie” broszur politycznych kupującemu detrystrykę.

Wszystko to prawda, trzeba wszakże wiedzieć, że i najlepsza propaganda nie pomoże, jeżeli jej przedmiot budzi poważne zastrzeżenia i to zarówno u czytelnika jak i propagandy.

Chodzi o to, że na ogół jest to literatura zła. Wprawdzie wszyscy autorzy piszą ją dla mas, ale posługują się przedziwną terminologią, abstrakcyjnymi sformułowaniami, banałami, sloganami, słowami wydanymi na świat płód niezłomny do życia, który nie obustuje masowego czytelnika i niczego nowego nie nauczy zaawansowanych.

Przykłady? Jest z nimi kłopot niemały, gdyż prawie każda pozycja ciśnie się pod pióro. Weźmy chociażby pod uwagę broszurę Zatorskiego „O Feliksie Dzierżyńskim”. Autor zastosował znakomitą, jeżeli chodzi o odstraszanie czytelnika metodę, nazywaną „cytatologią”. Cytaty wypełniają znakomitą część broszury. Swoimi słowami natomiast wypowiedział kilka „uogólnień”. I tak pisze np. że socjalizm Dzierżyńskiego „zrodził się z protestu przeciw wyzyskowi i uciskowi ze strony polskich obszarów i kapitalistów, z którymi spłótł się gwałt i okrutny ucisk narodu caratu, spadający ciężkim brzemieniem na masy ludu” (str. 8). Inne uogólnienie dotyczy procesu przechodzenia kapitalizmu w imperializm. „W obłądnym strachu przed rewolucją rosyjską i przed rosnącym jej wpływem na masy ludowe Polski, kierując się interesami obrony folwarków i pałaców magnatów polskich na Białorusi i Ukrainie Zachodniej, w zmoście z najbar dziej reakcyjnymi elementami kontrewolucji głoszącymi powrót do caratu w „jedyniej” i „niepodzielnej” Rosji, inspirowane przez kapital międzynarodowy, przez mocarstwa imperialistyczne, prowadzą grupy burżuazji polskiej w Rosji w okresie rewolucji jawnie antynarodową politykę walki z rewolucją, która data Polsce niepodległość” (str. 37—38).

I kto to zrozumie? Masowy odbiorca? Bohater felletonów Wiecha ob. Piecyk, gdyby

tylko przeczytał cytowaną broszurę, z całą pewnością zapytałby autora: do kogo ta mowa?

Jeszcze przykład? Proszę bardzo. Leży przed nami broszurka ob. Wasilkowskiej pt. „Kobiety w walce o pokój”, wydana przez Małą Bibliotkę TWP. Nakład oczywiście masowy. Na str. 3 czytamy: „System imperialistyczny ujęł się w kleszczach nierozwiązalnych sprzeczności”. Nieco dalej, na str. 4: „To oni (mowa o amerykańkach — przyp. wł.) podporządkowały sobie inne kraje kapitalistyczne i rozbudowały system atlantycki, depczą niezawistość narodową krajów Europy Zachodniej, drwią z ich tradycji narodowej i kultury i wprowadzają „amerykański styl życia”.

W zasadzie wszystko to prawda, ale co prostej kobiecie mówią takie sformułowania — „system atlantycki”, czy „amerykański styl życia”. Co innego jasne, barwne konkrety, obrazowe przykłady, których, niestety, w książce nie ma.

A jak są, to też nie zawsze jest dobrze. Często bowiem chęć prostego, jasnego i „uterenowionego” przedstawienia sprawy, sprawa się do banału, bezkańdowego wodolejstwa. Jest to niebezpieczeństwo równie groźne jak i pseudonaukowy bółkot. Wprowadzanie nazwisk, „prawdliwych dialogów” od stampery jeszcze nie chroni, a nagminne stosowanie przy tego rodzaju wydawnictwach „taryfy ulgowej” powoduje narodzić się dziwacznych nowotworów językowych, błędów gramatycznych, cudacznych metafor.

Oto trzy przykłady z jednej książeczki (Kamila Chylińska — „Spotkania”, Czytelnik 1954, str. 25, 26, 29):

„Żeby mogli w ten sposób Polsce złożyć dar z dziesięciu robotnikogodzin...” „Więc jakże nie piętnować słabych, przy pierwszej trudności składających broń? Jakże nie ukarać tych, co w poprzek stoją dążeniom, by na Złot nie tylko pojechać, lecz naprawdę na Złot zastąpić?”

„Żaloga zakładu, a wśród niej młodzież, pragnie przysięść stosunek człowieka do maszyn gruntowną znajomością celu pracy...” „Normy rosną i nie zamierzają zrywów zobowiązań”.

„Raz rozgorzała wśród uczniów dyskusja nad książką Ostrowskiego „Jak harutowa się stała” i nad „Poematem pedagogicznym” Makarenki. Argumenty krzyżowały się szybko, trudno było rozstrząsać się w ich wadze. Większość uczniów nie wiedziała co myśleć”.

Dziwaczna, nienajlepsza to polszczyzna. Ostatecznie, kto wie, czy nie miał racji jeden z bibliotekarzy, który twierdzi, że ucieczka od tego typu literatury jest zjawiskiem pozytywnym, zdrową samoobroną mas.

Oczywista rzecz, mamy i dobrą literaturę polityczną, jak prace np. Stefana Arskiego. Bibliotekarze powiadają, że jego wstęp do „Pamiętnika Józefa Beka” ludzie czytają chętniej niż sam pamiętnik. Albo autentyczny pamiętnik z Taibanu lub „SOS Solum tonie”, nie mówiąc już o książkach Osmańczyka czy Podkowiańskiego.

Lecz nawet i kilka fasciłek własny nie czytamy. Miejsce kłopotliwego dziennikarza, powinien zająć dobry publicysta, literat. Wysocka jakości, dobry poziom literacki — one dopiero ożywiają czytelnictwo literatury, która w najbardziej bezpośredni sposób powinna kształtować postawę ideową odbiorcy.

STANISŁAW SIEKIERSKI

Kot w worku

CAŁA żółć tego artykułu pochodzi z niewinnego pytania: „A co to za pismo to „Kronika”? Jak myślicie — czy pytanie to zadał jeden z łódzkich pracowników kultury? Nie, chociaż zdarzało się to często, nawet po paru miesiącach wychodzenia pisma. Zedy więc dłużej nikogo nie dręczę, odpowiem: pytanie to usłyszałem w sekcji Komisu Stolecznego Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” w Warszawie. Dla wyjaśnienia podam, że jest to ta sekcja, która kieruje polityką kolportażową „Ruchu”. Zaszedłem tam, aby dowiedzieć się jaką poczytność cieszy się „Kronika” w Warszawie, jak się rozchodzi, ile jest zwróconych. Ciekawość moja została nagrodzona, otrzymałem szereg cyfr, którą — jeśli idzie o Warszawę — były pocieszające. Nie przedstawiałem jednak na suchym sprawozdaniu i udatem nie w pogawędę z sympatycznymi pracownikami sekcji Komisu. I wtedy padło owo pytanie, po którym spojrzałem ponownie na moje zestawienia cyfrowe, przglądając im się z boku jak kogut, który znajduje ziarno pszenicy na płasku: prawda li to czy złudzenie?

Dowiedziałem się jeszcze — w tym właśnie tkwi cała esencja — że do sekcji tej, która przecież zajmuje się kolportażem, nie dochodzi (drogą urzędową) żadne pismo literackie czy kulturalne. Pracownicy więc nie znają towaru, który rozdzielają. Cała sprawa ogranicza się do mechanicznych kalkulacji, na wyuczcie, do spekulacji cyfrowych, za którymi nie kryje się poważniejsza, twórcza troska — co, gdzie i jak. Kalkulacje czysto abstrakcyjne. Proszę zauważyć: ludzie, którzy gospodarują towarami — nie znają jego wartości.

Trzeba tu powiedzieć, że pracownicy sekcji zdają sobie sprawę z tego niedociągania. Boi ich to. Zapisują to gwałt sprawiedliwości; nie przeczekno nim skierowała się moja żółć. Gdzie tu tkwi błąd? Fajszujemy system czy niedbalstwo?

TADEUSZ PAPIER

DO REDAKCJI „KRONIKI”

Cieszę się, że pismo nasze z numeru na numer staje się coraz lepsze i ciekawsze. Czytam „Kronikę” bardzo pilnie i to nie tylko „literaturę”, wiersze, opowiadania, reportaże i artykuły. Czytam także felletony o filmach. Uważam, że jest bardzo pożyteczny. Ale ostatni „Stendhal na ekranie” zbił mnie z pantofli. Czyż można zacytować „Zacznę od spraw powierzchownych” — pisze autor. — Otóż powierzchowne książki Stendhala tworzy dość niechlujny język i styl, za który nawymyślał Flaubert autorowi „Czerwonego i czarnego”. Niechlujstwo Stendhala zupełnie zniknęło w filmie reżyserii Claude Autant-Lara. Zastąpione została istną „czytelnością” formy, kunsztem obrazu, muzyki, gry aktorskiej”.

Boże kochany! A ja myślałem, że język Stendhala... Ale teraz już nic nie myślę. Czekam rozgorkowanego na dalsze felletony, wierzę, że ich autor, ot, tak, na marginesie, pobłażliwie, acz stanowczo rozprawi się z brakorobstwem pozostałych klasyków.

MIROSLAW OCHOCKI

P.S. Jednakże to cudowna muza — ten film. Szybko i sprawnie, za pomocą muzyki, obrazu, gry aktorskiej potrafi zlikwidować niechlujstwo języka — ho! ho! — samego Stendhala. Gdyby nie film, Stendhal nadal by gorszył dzieci „powierzchnią” (jak określa to autor felletonu) swoich utworów.

SZANOWNNA REDAKCJO!

Na łamach naszych pism społeczno-kulturalnych problematyka filmowa reprezentowana jest nader skromnie, powiedziałabym nawet — w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do popularności tej dziedziny sztuki wśród szerokiego rzesz społeczeństwa. Toteż z dużym zainteresowaniem przeczytałem felleton, który ukazał się w nrze 7 Waszego poczytnego pisma pod obiecującym tytułem „Stendhal na ekranie”. Autor felletonu, ob. J.-ERT, obiecuje na wstępie kilka uwag o niewyświetlonym dotąd u nas filmie „Czerwone i czarne” według powieści Stendhala. (Temperatura naszego zainteresowania wzrasta. O filmie „Czerwone i czarne” czytaliśmy to i owo od neliżących szczęśliwców, którzy film oglądali na zamkniętych projekcjach). Zabraliśmy się więc do lektury i już pierwszy fragment rozważań autora dostarczył nam niecodziennych emocji. Pod warunkiem, że... Jesteśmy poszukiwaczami „sensacji”. Oto sensacyjne sformułowanie autora: „Zacznę od spraw powierzchownych. Otóż powierzchowne książki Stendhala tworzy dość niechlujny język i styl, za który nawymyślał Flaubert autorowi „Czerwonego i czarnego”.

A zatem styl i język utworu literackiego, to są sprawy „powierzchniowe”, to jest „powierzchnia” utworu, w którego głębszych warstwach kryje się istotna treść. Ale dorożnicy autorowi to doprawdy nazbyt już naiwne, chociaż bardzo obrazowe przeniechanie zagadnienia treści i formy. Wolno przecież autorowi posłużyć się metaforą, wprawdzie niezgrabną i źle świadczącą o znajomości zagadnienia, o które felleton potrąca „powierzchniowo” i mimochodem. Cóż, kiedy autor ogłasza nas następną sensacją i to doprawdy już grubszego kalibru. Na powierzchni „Czerwonego i czarnego” dostrzega J.-ERT dość niechlujny język i styl Stendhala.

Tadeusz Boy-Zeleński pisze o stylu Stendhala m.in.: „Jedną z przyczyn, dla której lekceważono Stendhala w epoce romantyzmu, a uwielbiano pod koniec XIX w., jest jego styl. Styl ten w istocie szczególnie odbija od szumnej poetyki przy Chateaubrianda, Wiktora Hugo, Gautiera, Musseta. Te krótkie, rzeczowe zdania siłą się ściśle notować fakty, uczucia; unikają — aż do przesady — ornamentu wielkich słów.

W ostatnich dniach ukazała się w Łodzi broszurka pt. „Łódzkie barykady” wydana przez Komitet Łódzki PZPR i Woj. Radę Związków Zawodowych. Broszura składa się ze wspomnień 16 łódzian, przeważnie żyjących jeszcze uczestników walk rewolucyjnych 1905—07 roku. Materiał wspomnieniowy opracowany został przez Feliksa Bąbala i Jerzego Millera.

Zasada organizująca materiał broszury nie mogła oczywiście, doprowadzić do zebrania w niej pełnego i wielostronnego obrazu wydarzeń z lat 1905—1907. Wspomnienia zawarte w broszurze pochodzą od ludzi, których łatwo mogli osiągnąć autorzy opracowań, a nie od najbardziej aktywnych i najgłębiej zorientowanych uczestników pamiętnych dni. Są to przede wszystkim relacje członków średniego aktywu rewolucyjnego.

Mimo to, a może dzięki temu, „Łódzkie barykady” przynosi materiał pozwalający czytelnikowi zrozumieć ciekawą i trochę już egzotyczny, — bo sprzed lat 50-ciu — „dzień powszedni” rewolucyjnego działacza. Wyobrażenia o tych sprawach nie dają — jak wiadomo — opracowania dążące do syntetycznego ujęcia rewolucyjnych wydarzeń; autorów takich prac bardziej interesuje dokument urzędowy czy publikacja prasowa niż człowiek żyjący i działający w skomplikowanych okolicznościach czasu rewolucji. Odwrotnie — powiedzmy sobie szczerze — ma się rzecz z przeciętnym czytelnikiem, który przede wszystkim ciekawy jest drobnych, codziennych szczegółów życia i pracy w dniach rewolucji, chce poznać i zrozumieć biorącego w niej udział człowieka. „Łódzkie barykady” zawierają moc takich właśnie soczystych i prawdziwych konkretnych i dzięki temu wypełniających w dużej mierze istotną lukę w publikacjach poświęconych dniom rewolucji 1905—07.

Jednej poważnej sprawy broszura ani nie rozwija, ani nawet nie dotyka — sprawy konfliktów i wahań rozgrywających się w łódzkich sumieniach w tym trudnym okresie życia klasy robotniczej. Nie chodzi nam o normalne łódzkie skrupuły towarzyszą-



O stylu Stendhala pisano wiele. Stendhal miał zatem swych wrogów w epoce romantyzmu i namiętnych wielbicieli pod koniec XIX w., żaden jednak z krytyków literatury nie zbył wielkiego twórcy tak lekceważącym wydeciem warg. Czytelnikowi może się wprawdzie wydawać, że krótki, rzeczowy styl Stendhala, ścisłość i zwięzłość jego zdań to celowo użyte narzędzie w odtworzeniu wizji świata, pełnego wielkich namiętności. Ale skoro dowiedzieliśmy się, że „sam” Flaubert nawymyślał autorowi „Czerwonego i czarnego”, zmienimy chyba swoje zdanie, prawda? Ochłonęliśmy pomalutko z wrażenia, jakie wywarł na nas celny doprawdy strzał ob. J.-ERT. Przecież za jednym zamachem unicestwił on nasz kult do Stendhala, a jednocześnie zafrapował swą erudycją.

Czytamy dalej: „Niechlujstwo Stendhala zupełnie zniknęło w filmie Claude Autant-Lara. Zastą-

NIE TYLKO SPÓR O SŁOWA

Przyznam, że pierwszym moim odruchem po lekturze powyższej korespondencji, był gorący sprzeciw. Niejedno sformułowanie listów trąciło mi o sławionym „nie szargać świętości”. Bo jakie prawo ma ów J.ERT mianować Stendhala „niechlujcem”, a sprawy stylu i języka nazywać „powierzchniowymi”? Wydawało mi się także, że zrodził się typowy „spór o słowa”. Ze po prostu ubrałem swoje rozczochrane myśli w określenia nieprecyzyjne.

Lecz po namyśle dostrzegłem, że pod zarzutem korespondentów o nieprecyzyjnych wyrażeniach — kryją się ważniejsze problemy.

A więc po pierwsze — kwestia „niechlujstwa”. Tak się już dzieje, że zaliczenie jakiegoś utworu do tw. klasyki, powoduje automatyczne przyjęcie niewzruszonej i co istotniejsze — najwyższej oceny danego dzieła. I, niestety, każda próba naruszenia tej oceny, odskrobania posłtłki z pomnika, kończy się wylaniem kubka pomny na głowę sprawcy.

Chyba jednak w całym sporze nie ma mowy o pomysłach, ale jednocześnie — nie było próby podważenia wielkości Stendhala. Nie leżało w moich intencjach rozprawa i brakorobstwem klasyki. Jeśli wolno mi przekazać osobiste wyznaczenie — to należało do najgorętszych wielbicieli Stendhala, zawsze zaliczam „Czerwone i czarne” do listy dziesięciu książek, które bym wyniósł z półkowego domu.

Co innego miłośność do książki, co innego laurki. Co komu przyjdzie, jeśli napiszę, że „porównując powieść Stendhala została tak, a tak napisana”? Należało przecież uściłowić głębiej sięgnąć — choćby do zakryzanej „powierzchni” — i na tej drodze narodziło się słowo „niechlujstwo”.

Czy wszystko jest tak proste, jak sugerują Aleksander Postołow i Mirosław Ochocki? Czy rzeczywiście nie wolno określić stylu, języka, dodając jeszcze — kompozycji — jako niechlujne?

Długo nad tym myślałem wterując raz jeszcze „Czerwone i czarne”. Szukałem zaprzeczenia własnej opinii wśród przyjaciół — także wielbicieli postaci Juliana Sorela. Grzebołem w dawniejszych

pione zostało istną czytelnością formy, kunsztem obrazu, muzyki, gry aktorskiej”.

Nie, ob. J.-ERT! Tu już przestajemy rozumieć. Ze niechlujny styl i język Stendhala znikł w utworze filmowym, to jeszcze zrozumiałe, jeśli oczywiście idąc w Wasze ślady, „powierzchniowo” je traktować. Ale jak je zastąpiono czytelnością formy plastycznej, grą aktorską i muzyką, tego autor felletonu nie był łaskaw nam powiedzieć. Wołał ukryć się za barierę mętnych, ogólnikowych sformułowań. A szkoda! Bo doszlibyśmy może z ob. J.-ERT-em do wspólnego wniosku, że jeśli — jak twierdzi autor felletonu — „żaden film nie jest w stanie przekazać całej zawartości ideału i klimatu dzieła wielkiego pisarza”, to między innymi dlatego, że trudno jest w adaptacji filmowej przemówić językiem i stylem oryginału. A może to uczucie rozczarowania, jakie wyniósł autor felletonu z filmu, położył na karb braku owego „niechlujnego” języka i stylu Stendhala. Gubimy się w domysłach, bo filmu nie znamy, a niechlujne sformułowania autora felletonu traktujemy jako jego osobiste — bardzo nieuporządkowane i ogólnikowo wypowiedziane refleksje. Nie życzymy ob. J.-ERT., aby osiągnął celność „niechlujnego” stylu Stendhala, skoro sam sobie tego nie życzy, życzymy mu natomiast, aby swe „zasadnicze” chce”, jak w felletonie określa treść ideową utworu, umiał ubrać w konkretne, czytelne sformułowania.

Pod adresem zaś Redakcji my, kinomani, wołamy: więcej artykułów o filmach, byleby artykuły te zawierały w sobie istotną treść, byleby nas uczyły i informowały, a nie sprowadzały się do garści rozwodnionych, nieczytelnych impresji.

ALEKSANDER POSTÓŁOW

i nowych wypowiedziach o Stendhalu. No i raczej udało mi się znaleźć jedynie potwierdzenie opinii: forma Stendhala daleka jest od doskonałości...

Postołow cytuje bawowskie porównanie prozy Stendhala do „szumnych poetyckich utworów Wiktora Hugo”. Tenże Boy przypomniał, że już w pierwszym zdaniu „Dziennika” znajduje się błąd gramatyczny. Opinia Flauberta: język i styl Stendhala mocno odbiegają od poprawnej francuszczyzny. Wreszcie do dziś we Francji toczy się namiętny spór na temat stendhalowskiej prozy, przy czym w dyskusję włączani są Aragon i Claudel. Ten drugi jako przeciwnik stylu wielkiego klasyka.

Przykłady „opozycji” wobec Stendhala można mnożyć, ale ukazuje one tylko część prawdy. Całą prawdę ukaże dopiero odpowiedź na pytanie: skąd się brało owe „niechlujstwo”? Taki właśnie styl, rozbrakana kompozycja — były wynikiem nieprzejednanej postawy pisarskiej. Zrodziła go wielka pasja, bunt przeciw panującemu ideałom, zarówno w dziedzinie moralnej, jak i estetycznej. A zatem — przeciw sztywnym kanonom pewnego gatunku pisarstwa. Była to proza „na przekór”, tak bardzo odpowiadająca myślowi, uczuciom i dążeniom wspaniałego bohatera powieści.

Trzeba przypomnieć: pamiętając o tych intencjach, buncie pisarskim — nie godzi się nazywać prozy Stendhala „niechlujną”.

A jednak chcąc porównać „nagie” elementy warsztatu artystycznego — pisarza i filmowca — musieliśmy się zdecydować na odrzucenie kwestii intencji Stendhala. Zabieg bolesny — lecz chyba przydatny.

Oto dochodzimy do drugiej „kości niezgody”, określenia „powierzchniowo”. Nikt jakoś nie zwrócił uwagi, że słowo to napisałem rozstrzelanym drukiem, chcąc podkreślić jego umowność (może raczej należało użyć cudzysłowu). Możliwe, stąd wynika nieporozumienie. Chodzi jednak o coś więcej — czy można porównywać (i czy warto) poszczególne elementy warsztatu literackiego z odpowiednimi „członami” utworu filmowego?

(Dokończenie na str. 8)

Stare wątki

„ŁÓDZKIE BARYKADY”

ce — powiedzmy — wykonaniu trudnego zadania, o takich przeżyciach mówi wspomnienie Władysława Jajdla. Brak jednak całkowicie w „Łódzkich barykadach” śladów ideowych rozterek, tak charakterystycznych dla rewolucyjnych przeżyć łódzkiego proletariatu. Czytelnik, który na podstawie tej broszury chciałby zbudować sobie poglądy na sprawę wzrostu świadomości klasy robotniczej znajduje się w nie lada kłopotcie. Sylwetki bohaterów poszczególnych wspomnień zostały bowiem oderwane, wyizolowane z „tła, z masy robotników łódzkich, których nie widać wyraźnie. Dlatego też czytelnikowi narzuca się wrażenie, że 16-tu weteranów rewolucji to ludzie reprezentujący powszechny, przeciętny poziom świadomości łódzkiego proletariatu. W rezultacie z kart broszury wynika, że załamanie się fali rewolucyjnej to była tylko sprawa materialnej przewagi carskiego aparatu a nie także sprawa tragicznych rozdarć organizacyjnych i zamętu ideowego w klasie robotniczej, których echa dziś jeszcze nie wygasły całkowicie.

Trudno ustalić przyczyny, dla których broszura omija te ważne problemy. Jest w niej niewątpliwie, jakiś pogłos schematycznego obrazowania ludzi i czasu, jest upiększanie — a więc deformacja historycznej rzeczywistości. Ciekawe — na przykład — że z pamięci weteranów całkowicie zniknęła postać kierownika łódzkiej organizacji SDKPiL z roku 1905—6 „Anatola” (Gierdawy), o którym wspomina w swoich listach Dzierżyński. Czyżby stało się tak dlatego, że Gierdawa odszedł

później od ruchu rewolucyjnego i związał się z pilsudczyzną? Jeśli tak — to szkoda — bo przecież właśnie historia „Anatola” wymownie ilustruje problem rozterek i trudności ideowych czasu rewolucji, sprawę zawiłanych dróg ludzi, którzy wtedy mieli niebiahy wpływ na rewolucyjny aktyw robotniczy.

Wspominamy o niedostatkach „Łódzkich barykad” przede wszystkim dlatego, że — zdaniem naszym — są one do naprawienia. Nie traktujemy „gałdewo” cennej inicjatywy wydawniczej KŁ PZPR i WRZZ dążących — jak szadzi — do zebrania i utrwalenia materiałów z historii łódzkiej klasy robotniczej. Byłoby więc rzeczą niezmiernie pożyteczną, gdyby wydawcy zdecydowali się na uzupełnienie „Łódzkich barykad” zbiorem wspomnień ludzi, którzy rewolucję 1905—07 roku przeżyli jako nieświadomych jej sensu i celów świadków i nie brali w niej aktywniejszego udziału. Jest z pewnością wielu takich w naszym mieście; od nich dziś jeszcze można zebrać materiał uzupełniający dni chwały łódzkiego proletariatu wspomnieniami „bezpamiętnych lub — jak mówili esdscy — „masowych” robotników. To sprawa ważna, bo przecież właśnie oni nosili w sobie to wszystko, o co potykały się zamierzenia aktywistów. To wszystko trzeba wydobyć — dla pełni obrazu i dla pożytku nas, będących przecież kontynuatorami tej samej walki jaką toczono przed półwieczem.

Mamy nadzieję, że potrzebna i cenna inicjatywa KŁ PZPR i WRZZ ujawniona tak interesującą broszurą jaką są — mimo ich niedostatków — „Łódzkie barykady” nie zatrzyma się w pół drogi. Gdzie jak gdzie, ale właśnie w Łodzi jest kopalnia materiałów do dzieł polskiej klasy robotniczej, są ludzie, którzy wiele mogą o tych sprawach powiedzieć. Niechże przekażą nam swe doświadczenia i obserwacje, niech odezwą się z kart następnych broszur.

Esz.

KRONIKA Nr 9

„Międzynarodowa gra młodzieżowa”

SAMOKRYTYCZNIE przyznaje, że w nien jestem niedyskretny. Przeczytałem kartę pocztową adresowaną nie do mnie. Wziąłem ją do ręki pod wpływem nieodpartej ciekawości, jako że nigdy jeszcze nie spotkałem tzw. „odkrytki” opatrzonej adresami aż 4-ech różnych nadawców. Spojrzałem zaś, że tekst korespondencji rozpoczyna się słowami umieszczonymi w tytule tej notatki — ostatecznie odrzuciłem skrupuły i odczytałem co następuje: „Wysłalił w terminie 3-ech dni od chwili otrzymania tej karty 10 zł przekazem pocztowym na pierwszy adres podany na odwrotnej stronie tej karty. Następnie przepisz treść tej karty na 4-ech kartach pocztowych i wysłaj do 4-ech znajomych, którym zaufasz, że Cię nie zawiodą i nie przetrwają tej gry. Na kartach opuść adres, na który wysyłasz 10 zł, pozostałe napisz w tej samej kolejności, na czwarte miejsce wpisz swój adres. Jeśli znajomi Cię nie zawiodą, to po 15-tu dniach otrzymasz 256 przekazów na łączną sumę 2560 zł. Bardzo Cię proszę nie zawieść nas i dostosuj się do żądanych wskazań. Jeśli nie chcesz brać udziału w tej grze, to odesłaj tę kartę na ostatni adres na odwrocie”.

Bardzo mnie ta „międzynarodowa gra młodzieżowa” zainteresowała, ale ponieważ jestem człowiekiem nieufnym, zacząłem zastanawiać się nad jej zasadami. Powiedzmy, że znalazł się na miejscu odbiorcy takiej kartki dostosowalbym się „do żądanych wskazań”, wysłał 10 zł na pierwszy z podanych mi adresów, a do 4-ech znajomych rozstałbym kartki, w których mój adres znajdował by się na czwartym miejscu. Powiedzmy, że 4-ty mój znajomy wysłałby do 16-tu swoich znajomych kartki, na których adres mój byłby już na 3-cim miejscu. Powiedzmy, że 16-tu znajomych moich znajomych, napisałoby do 64 swoich znajomych kartki, zawierające mój adres już na 2-gim miejscu. Powiedzmy, wreszcie, że 64 znajomych znajomych moich znajomych, napisze do 256 swoich znajomych, podając mój adres już na 1-ym miejscu — wówczas, istotnie, owych 256-ciu znajomych znajomych znajomych moich znajomych, powinno mi przysłać po 10 zł każdy. Rzeczywiście — minimalnym kosztem i zachodem dorabiam się 2560 złotych!

No dobrze, ale co dalej? Zainkasowałem — powiedzmy — gotówkę, a tańcuszek rozwija się i rośnie. O ile wszyscy wciągnięci do niego uczestnicy stosują się do „żądanych wskazań” — to znaczy: nie przerywają gry — w 13 kolejce objąć on musi 22 268 621 uczestników, a w 14-tej już 88 937 475. Tyle ludzi nie ma w całej Polsce, a że owa „międzynarodowa gra młodzieżowa” nie może wykroczyć poza nasze granice, zacznie się kręcić w kółko i wracać do suych wcześniejszych uczestników. Jednym słowem, gdzieś po dwóch miesiącach zacznie się do mnie walić lawina kartek od wszystkich możliwych znajomych. Co wtedy? Wtedy, w myśl „żądanych wskazań” muszę na wszystkie strony wysłać po 10 zł, zająć się wypełnianiem przekazów pocztowych i pisanie setek kart. Oczywiście — w tej sytuacji zniknie owe 2560 zł a pozostaną koszty przekazu i kart. Bez uszczerbku a nawet z jakim takim zyskiem wyjdę z tej imprezy jedynie wówczas gdy zgarnę 2560 zł wycofając się z gry, to znaczy — zawiodę zaufanie tych ludzi, którzy później niż ja sam zostali do niej wciągnięci.

Tak, proszę państwa. Powiedzmy prosto: inicjatorem i uczestnikiem „międzynarodowej gry młodzieżowej” chodzi wyłącznie o wyłudzenie pieniędzy od naiwnych a jednocześnie łasych na lekki dochód ludzi; zachęcają oni suych znajomych nęcąc propozycją: daj 10 zł a otrzymasz 2560. Nie łatwo oprzeć się takiej pokusie, bo przecież „zasady gry” dyskretnie nie wspominają o tym, że jej uczestnicy stają się współnikami „kantu” i mówią po prostu — naciągaczami. Zasady te mówią natomiast o tożsamości („nie zawieść nas”), odwołują się do umiejętności oceny ludzi („4-ech znajomych, którym zaufasz”). W sumie zastosowano tu cały arsenał hochsztaplerskich środków, nie zapominając nawet o nazwaniu tej imprezy miłym brzmieniem szczególnie chwytliwym w okresie Festiwalu.

Tak, moim zdaniem, wygląda owa „międzynarodowa gra młodzieżowa”. Wszystkich jej uczestników dzieli na dwie kategorie: kombinatorów świadomych i kombinatorów instynktowych; o przynależności do jednej lub drugiej grupy, niech decydują sami. Znajomych, którzy zechcą mi „zaufać” i wciągnąć do tej nieudolnej imprezy uprzedzam, że nie wezmę w niej udziału i nawet nie odeślę karty „na ostatni adres na odwrocie”.

EDWARD SZUSTER

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKLAD RSW „PRASA”

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rękopisów nie zamówionych
nie zwraca się
Prenumeratę miesięczną wynoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.
Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 2648. N. 6100 Pap.
druk. sat. 60 g, V kl. VIII. 55. D-6-16621



Pięka z ogona Gdzie prawda?

„Głos Robotniczy” z dn. 1. VIII. 55 zamieścił notatkę pt. „Na festynach i wesolych imprezach spędzili tożsamość wczorajszą niedziela”. W notatce tej czytamy:

„Przepelniona była hala Włókniarza, w której odbył się koncert piosenek i melodii tanecznych światła urządzony staraniem Polskiego Komitetu Organizacyjnego V Festiwalu oraz Zarządu Łódzkiego ZMP”.

W parę dni potem, ta sama gazeta (nr. z dn. 6. VIII. 55) zawiadomiła nas, że:

„Impreza pt. „Koncert piosenek i melodii tanecznych światła”, która miała odbyć się w dniu 31 lipca w hali Włókniarza i została przełożona na niedzielę, dnia 7 bm., nie odbędzie się”.

No dobrze, rozumiemy, że koncertu w dniu 7 bm. nie będzie. Nie rozumiemy jednak jakim to sposobem „miała się odbyć” — a więc nie odbyła się — impreza, podczas której „przepelniona była hala Włókniarza”? Włókniarza ten koncert, czy też nie było na koncercie sprawozdawcy, który pięknie opisał tę imprezę?

Kowalczyk czyli przeżycia człowieka naiwnego

Jan jest człowiekiem o dużych, jasnych oczach ze zdziwieniem i ciekawością patrzących na świat i ludzi. Toteż nie dziwnego, że pewnego dnia przystanął na rogu ulicy Piotrkowskiej i Traugutta i zdumionym wzrokiem śledził treść tabliczki, która informowała: „Kawaleria Grand”, a nieco niżej dużymi literami: „Remont”. Jako — pomyślał Jan Kowalczyk — Przecież dopiero trzy lata temu kawalerię tę zbudowano od podstaw, o czym najlepiej świadczy tablica pamiątkowa jej twórcy przybita przy wejściu. Twórca wprawdzie zapomniał o... wentylacji, nie pomyślał o miejscu na czasopisma, których od początku istnienia tej reprezentacyjnej kawalerii żaden bywał tam nie widział.

„Ale pociąg remont? Czyżby instalowano wentylację? Nie, niemożliwe — pomyślał Jan Kowalczyk, a w jego oczach wyraz ciekawości jeszcze bardziej się uwidatnił.

Pracownik Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi wydrukował w pewnym łódzkim piśmie krytyczny felieton o działalności swojej instytucji. Jan Kowalczyk, którego znał jako człowieka porządnego, aczkolwiek nieco naiwnego, niecierpliwie się zdywiał dowiedziawszy się, że jeden z dyrektorów Wytwórni Filmowej zlecił sekretarce z a w e z w a ć autora felietonu do swego gabinetu i rzekł do niego mniej więcej tymi słowami:

„Panie, chciałem z panem prywatnie, podkręcić — prywatnie, podyskutować na temat naszego felietonu”.
Zdziwienie Jana Kowalczyka nie miało granic, kiedy dowiedział się również, że „dyskusja”, aczkolwiek prowadzona przez dyrektora w niezwykle grzecznej formie, była czymś pośrednim między śledztwem a groźbą.

Gdyby Jan Kowalczyk wiedział, że autor pisać jego biografie, jest też co najmniej zdziwiony — może by się trochę uspokoił...

Wiadomo, że w upalne dni ludzie lubią cienie drzewa i... chłodne napoje. Dzień był gorący, niesprzyjający dyskusjom, a jednak... Rzecz działa się w jednym ze sklepów przy ul. Zielonej. Klient: — Czy jest woda sodowa? — Nie ma, nie przynieśli... — A orzechowa? — Zabrakło... — To może jest piwo? — Niestety, nie ma. — Więc co jest do picia? — Zapytał klient zrozpaczone głosem. — Dziś mamy napoje tylko... wyskokowe — zachichotała cienko sprzedawczyni. Klient okazał swoje zburzenie w sposób delikatny i kulturalny. Kim był ów klient? Zgadliście, klientem tym był Jan Kowalczyk.

JULIAN STAWIŃSKI

Faulkner i Steinbeck

„Oczy moje widziały nadejście Pana w Chwale. Szedł wśród winnic i zbierał dojrzale Grona Gniewu”.

SŁOWA te są początkiem słynnej pieśni amerykańskiej „Ciato Johna Browna”, pieśni religijnej i rewolucyjnej zarazem. John Brown był pierwszym, który rzucił hasło zbrojnego oporu przeciw niewolnictwu. Zginął, ale pieśń o nim stała się hymnem walki o wyzwolenie Murzynów. Kiedy w latach 20 rozwinęła się w Stanach Zjednoczonych wielka literatura społeczna, gdy na jej czele kroczyli pisarze tej miary co Dreiser, Sinclair, Hemingway, Faulkner i Steinbeck, ten ostatni nadał swym słynnym powieści wy-mowny i symboliczny tytuł „Grona Gniewu”.

Później jednak, a zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach, najbardziej głośni i wzięci pisarze Ameryki odwrócili się od rzeczywistości. Może dlatego, że ulegli szerzonej przez rząd histerii, a może po prostu zbyt obróśli łuszczeniem. Dość, że tematów szukali teraz nie w głównych nurtach życia, ale po zakamarkach, zaułkach, czy nawet wśród szumowin i mętów społeczeństwa. Hemingway wspominał, że sam niedługo ostrzegł „Dla kogo biją dzwony”. Faulkner zakał się w prowincjonalnej głuszy powiatu Yoknapatawpha, dzięki jak cała reszta stanu Mississippi; a Steinbeck posunął się aż do tego, że na zlecenie departamentu stanu mówił przez radio Madyrt i radio „Freies Europa”.

Tak więc burzowa literatura w Ameryce zdawała się na zawsze zrezygnować z wielkości. Dobrowolnie wpręgała się w rydwan monopoli i została pokorną służką imperializmu. A jednak pisarz prawdziwy i w pełni sił twórczych nie może dziś zamknąć się w sobie i odciąć od świata. Zbyt silne wichry wieją po całym globie i docierają

JERZY MILLER

METAMORFOZA

Odkąd prężnym, gibkim krokiem z niemowlęcym jasnym wzrokiem mknę przez życie, słyszę z boków szmer uznania dla mych kroków.

Odkąd sadzę się na zuroty:

„Pan jest... Rodin”... „Jak w Hamlecie”...

już nie wrzeszczą, żem kabotyn, co smalone duby plecie.

Chwałą wielcy mnie i mali,

głupi, mądrzy i nijacy.

Ci, co kiedyś mnie kopali,

proszą, abym im wybaczył.

Jeśli się nie zdradzę kiedy

z myśli, które kryję w sobie,

może się wydzwignę z biedy

i stracony czas odrobie.

Byłem się stosował ściśle

do przyjętych obyczajów —

może mnie naczelnym w piśmie

redaktorem obwołają.

ANTONI LANGE (1861—1929)

O WARSZAWIE

Jan wyjechał z Warszawy. Czekal mało — wiele

A już nazajutrz wszyscy jego przyjaciele —

Rzekliby, zanotowali każdy w swym karnecie:

Jan wyjechał, a zatem nie ma go na świecie.

Jan umarł. Ni w kawiarniach, ani go przy kartach

Nie widać! Znikła pamięć o nim nawet w żartach.

Zatem Jan próżno listy pisze do Warszawy

O gotówkę w redakcjach, o najwyższe sprawy:

Nikt mu nie odpowiada! Toż byłoby dziwne

Pisać doń, gdy wiadomo, że już jest nieżywy.

Odpowiadać na owe listy nieboszczyka —

Toć to jest obłąkanie, to metafizyka.

I patrzcie, co się dalej w tej historii święci —

Jan umarł nie na żarty — umarł z niepamięci

Warszawskiej! Pogrzebiony z dala od rodziny.

Bowiem pamięć Warszawska nie trwa i godziny.

JOANNA KULMOWA

Wiem na to przed setkami lat

zmyślił go Żyd na górze Synaj,

i na to mu oddano świat

i na to mu przydano syna,

na to kazano gorzce stosom

i płynąć hugonockiej krwi,

na to Des Cartes'om i Spinozom

w gorące przyszło trawić dni,

na to go czcił Giordano Bruno

i Bach i Dante i Claudel,

wieć na to najostrożniejsze pióra

tyśiąckroć brały go na cel,

żeby ze złotych ram ikony

strzegł bogobojnych twoich pierzyn,

w których ostrożnie przyczajony

chcesz przetrwać „reżym”!

AKCJE HANDLARZY BRONIA

ZNIŻKUJĄ

KR...R...A...A...CH!

Rys. K. Baraniecki

RYSZARD BRUDZYŃSKI

ZALOTY

Aby złagodzić swoje kłopoty —

od poniedziałku wszczynam zaloty.

Śmieję się słodko do panny w kiosku,

tonięcie serce moje jak z wosku.

We wtorek, aby przegnać jej chmury,

kupuję numer „Nowej Kultury”.

W środę jej łapkę chwytam swą łapą,

„Nową Kulturę” biorę da capo.

W czwartek się snuję przy niej jak cień,

bo już się zbliża krytyczny dzień.

Piątek od wieków dzień to feralny —

„Przegląd” kupuję więc „Kulturalny”.

W sobotę patrzę na nią jak żak —

bo „Świata” nie ma i „Szpilek” brak.

W niedzielę mnie zaś ogarnia trema —

zaloty na nic — „Przekroju” nie ma.

Najniewinniejsza wśród niewiniątek

mówi, że „Przekrój” sprzedają w piątek.

Ciągle w Centrali interweniuje,

lecz „Dookoła Świata” brakuje.

I jak tu zacząć z dziewczeczką, jak

kiedy jej czegoś bez przerwy brak.

Ale, że widzę w niej wciąż podwilkę —

co dzień kupuję u niej „Kronikę”.

NIE TYLKO SPÓR

O SŁOWA

(Dokończenie ze str. 7)

Można i warto i to głównie w dziedzinie kompozycji obu rodzajów sztuk. Właśnie kompozycję miałem na myśli, pisząc o cyzelatorstwie Autant-Lara. W „Czerwonym i czarnym” mamy niezliczone dygresje, które w niczym nie podpierają głównego wątku powieści. Prawda — że owe wtręty w jakiś sposób rozszerzają pole widzenia spraw społecznych. Prawda też, że wzbogacają postać bohatera tasiewiczem monologu Juliana. Lecz efermeryczne postaci, owe monologi i dygresje naruszają pewne ogólne normy estetyczne kompozycji powieściowej.

Porównajmy teraz: Autant-Lara skreślił dygresję, ograniczył liczbę postaci, włączył nawet — pozostawił załedwie szczerzący monolog Sorela. Uzyskał przez to wielką zwartość kompozycji filmu. Ale jednocześnie opadła temperatura uczuć powieści Stendhala, to co tak porwa czytelnika: namięt na galopada scen i zdarzeń. A więc widza spotyka zawód. Cyzelatorstwo scenarzysty i reżysera zagubiło Stendhala.

Ten właśnie zawód miałem na myśli, pisząc o ograniczonych możliwościach adaptacji arcydzieł literatury.

Czytelnik, który poznał książkę przed jej stylizowaniem, nigdy nie będzie zadowolony z adaptacji. Nie może się bowiem zdarzyć, by film odpowiadał wszystkim indywidualnym wyobrażeniom czytelników. Pomijając nawet tak generalne sprawy, jak powierzchowność bohaterów: książkę czytamy w niejednakowym tempie, pewne fragmenty wolniej, smakując ich podteksty, inne szybciej, pobieżnie. Film nie pozwala na dowolne regulowanie odbioru, narzuca tempo, któremu musimy się poddać.

Pozornie może się wydać, że film musi wzbogacać pisarskie wyobrażenie świata. Dość przypomnieć, ileż to metafor obrazowych stworzył Ford, adaptując niemal gozbawioną metaforyki powieść Koźmiewskiego. A jednak sprawa jest bardziej skomplikowana. Istnieje tu trudne do uchwycenia, lecz nieprzekraczalne granice. Ktoś sobie wyobrazi w utworze filmowym zachowanie wszystkich, ale to wszystkich opisów przyrody z „Popiołów” Żeremskiego? Ktoś znajdzie odpowiednik obrazowy jego niekiedy przenośni?

Pozwoliłem sobie wskazać tylko pewne możliwości ciekawych rozważań, jakie wynikają z porównywania elementów warsztatowych dwóch różnych sztuk. Chyba te dociekania prowadzą do praktycznych, aktualnych wniosków. Oto przykład — coś warte są teorie o konieczności językowych i stylistycznych walorów scenariusza filmowego? W moim przekonaniu — nieporozumieniem jest igranie o scenariuszy doskonałości „literackiej” (oczywiście, pomijam kwestie budowy postaci i dramaturgii), pięknych przenośni, rytmicznych zdań. Jeden z wyjątków, Einstein, którego scenariusze są prawie utworami poetyckimi — nie potwierdza teorii.

Wypada wreszcie ostatecznie ustosunkować się do nadesłanej korespondencji. Osobiście jestem wdzięczny za podjęcie dyskusji z pewnymi sformułowaniami mojego felietonu, lecz wydaje mi się także, iż listy poruszyły problemy wykraczające poza „spór o słowa”. Winny one dać podstawę szerszej dyskusji, bardziej ogólnej niż temat zalet i wad filmu Autant-Lara.

Dostrzegam dwa kierunki takiej dyskusji. Jeden — to oczywiście pisarstwo Stendhala. Ugrzęźliśmy w cieście lukrowanych ocen. A tu — jak dowodzą listy — trzeba dostrzec wielkość klasyków nawet w ich pozornych niedostatkach.

Drugi kierunek dyskusji określiłem już dość wyraźnie. Chodzi o próbę analizy możliwości filmu przy adaptowaniu dzieł literackich. Sprawa wcale nie była, gdy w okresie trudności scenariuszowych na całym świecie (może poza Włochami tylko) kinematografie odwołują się, szukają oparcia w literaturze. Szczególnie zaś — bo jak własną kuszulę — odwołujemy te trudności w naszej sztuce filmowej.

JANUSZ WEYCHERT



KR...R...A...A...CH!

Rys. K. Baraniecki

„Kiedy po raz ostatni wybieje dzwon zagłady, gdy echo spłynie po raz ostatni i skona w zamierającej lunie ostatniego wieczoru, nawet i wtedy rozlegać się będzie nigdy nie wyczerpany głos: głos człowieka. Wierzę, że człowiek nie tylko przetrwa — wiem, że zwycięży”. Mowę Faulknera odkrywa jeszcze pesymizm. Lecz słychać w niej coś więcej niż echo dzwonu zagłady. Słuchają wyraźny odgłos pamiętnych słów Gorkiego: „Człowiek — to brzmienie”.

Alle największe bodaj było przeobrażenie Steinbecka. Największe już choćby dlatego, że z tak daleka wrócił: od mikrofonów madyrskich i Adenauera. Przyczyną, która zadziała mu z oczu zasłoniła, była znana i u nas sprawa Matusowa.

Przypomnijmy ją w paru słowach. Matusow był zawodowym świadkiem, najętym przez FBI i departament sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. W tym charakterze zeznawał przez lat dziesięć, na podstawie jego zeznań osadzono w więzieniach setki niewinnych ludzi. W końcu jednak Matusow miał tego dość. Napisał i wydał książkę, w której przedstawił dokładnie całą metodę i technikę układania fałszywych zeznań swoich własnych i wszystkich innych świadków zawodowych. John Steinbeck przeczytał książkę i w znanym tygodniku „Saturday Review” zamieścił głośny już dziś artykuł zatytułowany „Śmierć kantu”.

„Wpływ Matusowa — mówi Steinbeck — będzie bez porównania większy niż mój samemu wy-daje. Przyszłość nie może być gorzszą od tego co było. Może być tylko lepszą. Rząd zatrudniał Matusowa, by pod pryskiem wskazywał setki różnych ludzi jako komunistów. A teraz ten człowiek stwierdza, że kłamł. Stwierdza pod przysięgą, że i inni świadkowie rządowi także kłamali. Fala histerii odwraca się i zalewa cały aparat śledczy. Opis dziejów prowokatora, jaki daje Matusow, jest przykre i smutny, ale wiarygodny. Musi gromadzić coraz większe kłamstwa, bo gdyby się wycofał, byłby skończony. Trwało to lat dziesięć, nikt mu nie mógł dorównać”.

„Taki był — ciągnie Steinbeck — kierunek prądu czasu, że nie dostrzegano oczywistych nawet absurdów. Dziś to się zmieniło. Rzecz jasna, każdy szczegół zeznań tych fałszywych świadków trzeba będzie zbadać w świetle starych, wypróbowanych zasad dowodowych. Ale już teraz wszędzie zapanowało wielkie poczucie ulgi. Poczucie tak powszechne, że było wzmianka w teatrze o świadkach zawodowych budzi śmiech. Matusow był oym przytyczkiem, który pchnął we właściwym kierunku wahadło zdrowego rozsądku”.

Wielki pisarz dotknął tutaj samej listy sprawy. Klimat Ameryki rzeczywiście się zmienił. W powietrzu pełno jeszcze dymów i czadu, skutków czerwonej histerii. Lecz obłąk już coraz mniej chwyta. Wychodzą księgi, w których jego mechanizm uczeni poddają dokładnym badaniom klinicznym. Profesor Robert Murray ogłosił gruntowną rozprawę pod wymownym tytułem: „Czerwony strach — studium o narodowej histerii”. Rozprawa wprawdzie dotyczy podobnej, choć słabszej fali z lat 1919—1929, ale jej wnioski mierzą w dzień dzisiejszy. A takich publikacji pojawia się więcej. Erwin N. Grawold, profesor wielkiego uniwersytetu Harvard, pisze o naruszeniu zasad wymiaru sprawiedliwości, redaktor „Washington Post”, Alan Barth, nazwał swą nową książkę „Rządy z pomocą śledztwa”.

Ameryka znała już rządy strachu, łowy czarownic, ściganie „wyrotowców”. Nigdy jednak histeria nie była taka wszechwładna, jak w czasach Trumana i Eisenhowera. Jej potęgą nadal jest groźna i byłoby błędem sądzić, że przemigła. Zachodzi jednak podstawowa różnica w porównaniu ze stanem, jaki był rok temu. Jeszcze przed rokiem naród amerykański zachowywał się biernie. Dziś stawia opór.

Mało tego. Histeria przestała być straszna. Zamiat grozy budzi coraz powszechniej śmiech. Steinbeck ma rację: wahadło zdrowego rozsądku przechyliło się znowu we właściwą stronę.

JULIAN STAWIŃSKI